Nr. 4 Poznan, Niedziela dnia 23 stycznia 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy	czteroraz. (miesięczn.)	„	15%.
„	kwartalnem 13 ×	„	25%.
„	półrocznem 26 ×	„	33 1/3%.
„	rocznem 52 ×	„	50%.

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 97.**



Polecam **Gramofony** **najnowszych** konstrukcyi, zupełnie **czysto i wyraźnie** grające. **Ceny oryginalne fabryczne od 25 do 300 mk.**

Płyty do gramofonów z śpiewami najsłynniejszych artystów i wszelkiemi melodyami z oper, operetek i pieśni ludowych. **Z dwóch stron ograne już od 2,00 mk. począwszy!** 266

Wszelkie przybory do **gramofonów** jako: lejki, membrany, szpilki w najlepszych gatunkach, **mechanizmy, sprężyny itd. stale na składzie.** **Reparacye gramofonów wykonuje się szybko i starannie.**

Panom Restauratorom polecam **pod każdym względem** ulepszone **głośno i czysto** grające gramofony automatyczne po bardzo nizkich cenach. **Proszę żądać katalogów!** **Fonografy** i **wałki** w wielkim wyborze.

„Camera“ właściciel Z. ŚNIEGOCKI. Pierwszy specyalny skład gramofonów, płyt i aparatów fotograficznych.

Telefon Nr. 2359. Poznań, ul. Rycerska 37. Telefon Nr. 2359.

Papierosy z fabryki **SULIMA** są najlepsze.

Produkcya roczna przeszło 300 milionów

Jedyna jeneralna agentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze. 391

Poszukuję kupna

Drogeryi,

średnich rozmiarów ewent. połączonej z handlem **towarów kolonialnych.**

Celem zapoznania się z klientelą życzyłbym sobie w rzeczonym interesie od **kwietnia** r. b. **krótki** czas kondycyonować. Wpłata we wysokości kilku tysięcy marek podług umowy. Łaskawe oferty upraszam pod **R. Ch. 383.** do ekspedycyi Pracy. 6

Biuro wskazywania posad

dla nauczycielek, wychowawczyń, bon, guwernerów i osób do towarzystwa.

Polecam od zaraz lub 1. kwietnia: **nauczycielki** egzaminowane i z pozwoleniem, **bony** I, II, i III kl. polki, niemki, francuzki, angielki, **guwernerów** do starszych i młodszych dzieci osoby wykształcone do towarzystwa, tylko z dobremi rekomendacyami. 16

Prakseda Stark,

pośredniczka posad.

Poznań, Wroniecka 4. Posen, Wronkerstr. 4.



Kanapy

garnitur plusz., materace, szezlągi i t. d. wyrabiane w własnej pracowni pod długoletnią gwarancyą li tylko z włókna indyjskiego.

Meble

szafy, szafki do bielizny, łóżka, stoły, krzesła, lustra itd. po rzeczywiście nizkich lecz stałych cenach poleca

Fr. Krzyżagórski

Poznań, św. Marcin 5/6, obok kościoła.

Wyprawy całkowite jaknajtaniej

Zasada: Większy obrót, mały zysk. 500

Usługa skora, towar rzetelny.



Młoda panienka

posiadająca cokolwiek majątku, która pragnie wyjść 24

za mąż

za leśniczego w Kr. Polskim zechce złożyć oferty z dołączeniem fotografii do ekspedycyi „Pracy“ pod **N. 24.**



A. Szmytkowski

Telefon 17. **Pniewy (Pinne.)** Telefon 17

Destylacya. Fabryka likworów i araków.

Specyalność:

Jubileuszówka, Jagodówka,

Gdańskie wódki,

Nalewka wiśniowa, Nalewka pomarańczowa, Nalewka śliwkowa.

Premiowane złotymi medalami.

Nowość: 63

„Hetman“, staropolski likier żołądkowy.

„Ukas“, krystalizowana kminkówka.

Skład prawdziwych araków, rumów, koniaków i handel win.



Czesanie 75 fen.





Mycie głowy 1,00 M.

Największe przedsiębiorstwo polskie w tym zawodzie

Hurtownie! fachowe w Poznaniu Detalicznie

poleca w najlepszem wykonaniu pod gwarancyą wszelkie wyroby z włosów dla Pań do modnego czesania się, jako to: warkocze od 75 f. do 17,50 i lepsze na zamówienie. Henreki od 3,50 do 15 mk. Szyniony z loków od 50 fen. do 5 mk. za parę. Podkładki elastyczne od 50 f. do 3,50 mk. Wałki z krepiny od 25 f. do 1 mk. Przedziałki od 4,50 do 15 mk. i lepsze.

Zamówienia z prowincyi przy nadesłaniu próbki włosów odsyłam odwrotną pocztą. 99

FR. GADZINSKI, perukarz i fryzyer.

Poznań, ulica Szkolna 13, narożnik placu Piotra.

Zasada interesu: Wielki obrót mały zysk.

Brązowe znaczki!

UCZENNICE przyjmuje się każdego czasu.

Nr. 4. Poznań, dnia 23 stycznia 1910 r. Rok XIV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Pruska gospodarka.

Minęły już wprawdzie te czasy, gdzie Niemcy na każdym kroku wytykali tak zw. „polnische Wirtschaft" jako synonim nieprzezorności, niedbałości i nieporządku w praktyce ekonomicznej. Mimo to od czasu do czasu podnosi się jeszcze ten zarzut, na szczęście nieuzasadniony. Natomiast Niemcy do niedawna tak pedantyczni i przysłowiowo systematyczni, od szeregu lat rządzą się tak nieprawidłowo, że nie można o niemieckiej gospodarce mieć zbyt pochlebnego mniemania.

Wszyscy jeszcze mamy w świeżej pamięci, jak rzesza niemiecka z roku na rok w coraz większe brnęła długi, aż nareszcie trzeba było uchwalenia szeregu częściowo bardzo przykrych podatków, by finanse niemieckie wyciągnąć z bagna, w którem ugrzęzły.

Ale nie tylko rzesza, lecz także Prusy nie pamiętają o starej maksymie: pamiętaj rozchodzie, byś był z dochodem w zgodzie, bo otóż i etat pruski zamyka się niedoborem, jak to wynika z przedłożeń ministra skarbowości. Rok 1908 zakończył się niedoborem 150 milionów, ostatni rok przyniósł blisko 100 milionów marek niedoboru. To znaczy, że wydano o te sumy więcej, niż dochód państwa pozwalał.

Każdy święty ma swoje wykręty. Tak i rząd pruski. Powiada, że niedobór powstał stąd, że urzędnikom państwowym podniesiono myto, a na dobitkę jeszcze i koleje, główne w Prusach źródło dochodów, nie przyniosły takich dochodów, jak się tego spodziewano.

To tłumaczenie nikogo przekonać nie może. Każdy prywatny człowiek bowiem o ile nie jest urzędnikiem, który ma dochód stały, ma lata lepsze i gorsze, a przecież musi jakoś koniec z końcem związać, jeżeli nie chce popaść w bankructwo. Cały rozum w tem, by koniecznie mniej wydać, niż dochód przynosi i zyski z lat lepszych obrócić na możliwe niedobory w latach mniej korzystnych. Tu lekarzem jedynym jest oszczędność i pamiętanie o przyszłości. A właśnie na cnocie oszczędności zbywa rządowi pruskiemu. Trzyma się nieproporcyonalnie dużo urzędników i to urzędników dobrze płatnych na stanowiskach, wymagających bardzo małego nakładu pracy. Buduje się wspaniałe gmachy publiczne i mieszkania służbowe dla urzędników (Poznań jest na to klasycznym przykładem) olbrzymie koszta budowy których uszczuplają zasoby kasy państwowej. Nie wydzierżawia się polowań w lasach królewskich, by wyżsi urzędnicy leśni nie byli pozbawieni polowań itd. itd. Ale na tem nie koniec. Prowadzi się przedewszystkiem ostrą politykę antypolską, która rocznie bajońskie pochłania sumy i wydatki na ten cel szlachetny rosną z roku na rok z zastraszającą szybkością. Tak np. sam fundusz dyspozycyjny przeznaczony do rozporządzenia naczelnych prezesów w dzielnicach polskich urzędujących wynosi 2 i ćwierć miliona marek. Wydatki komisyi kolonizacyjnej obliczono na r. 1910 na 28,863,000 marek, a więc znów o 283,824 mk. więcej, niż roku poprzedniego.

Na dodatki osobiste dla urzędników administracyjnych pochodzenia niemieckiego w W. Ks. Poznańskiem, którzy się uczą po polsku, względnie mówić i pisać po polsku umieją, na naukę języka polskiego dla średnich urzędników pochodzenia niemieckiego przy władzach administracyjnych w W. Ks. Poznańskiem jako i na nagrody dla średnich urzędników za nauczenie się po polsku wyznaczono 3000 mr., jak roku zeszłego.

Na zapomogi dla wyższych urzędników w W. Ks. Poznańskiem i mieszanych powiatach Prus Zachodnich celem wychowania dzieci wyznaczono w etacie ministerstwa finansów 125,000 m., 20,000 mniej niż w roku 1909. Dodatki kresowe dla urzędników średnich, kancelaryjnych i niższych w etacie ministerstwa finansów wynoszą 1,300,000 marek, 275,000 mr. więcej niż w roku zeszłym.

W etacie ministerstwa dróg żelaznych wynoszą zapomogi dla wyższych urzędników celem kształcenia dzieci 5,000 mr., tyleż przeznaczono na rok 1909. W roku 1908 wydano na cel ten 4,050 mr., przeznaczono 950 mr. więcej niż wydano w roku 1908.

Na dodatki kresowe dla urzędników kolejowych wydano w roku 1908 marek 996,131, na rok 1909 przewidywał etat 1,020,000 mr., na rok 1910 przewiduje 1,100,000 mr., a więc 103,869 więcej niż wydano w roku 1908, a 80,000 mr. więcej niż preliminowano na r. 1909.

Dodatki kresowe na rok 1910 wynoszą więc razem 2,400,000 mr., 355,000 marek więcej niż w roku 1909.

Etat ministerstwa oświaty przeznacza dla nauczycieli i nauczycielek przy szkołach ludowych w W. Ks. Poznańskiem i mieszanych powiatach Prus Zachodnich celem szczególnego poparcia niemieckiego szkólnictwa 1,600,000 marek, 65,000 mr. więcej niż w roku 1909, a 415,000 mr. więcej niż w roku 1908. Drugi fundusz służący temu samemu celowi wynosi 700 tysięcy marek.

Wydatki na akademię w Poznaniu wynoszą 122,690 mr., 13,248 mr. więcej niż roku 1909. Na szóstą i ostatnią ratę na budowę akademii w Poznaniu żąda rząd 47,000 marek.

Ogólna suma wymienionych powyżej funduszów wynosi *36 mil. 115 tys. 760 marek*, 403,514 mr. więcej niż roku zeszłego. W kwocie tej nie policzono odsetek i strat na pożyczkach, jakie państwo pruskie zniewolone było zaciągnąć na prowadzenie swej polityki przeciw Polakom.

Liczby powyższe wykazują dowodnie, jak kosztowna jest ta antypolska polityka i że ona to stanowi jednę z głównych przyczyn niedoboru finansowego Prus.

Byłoby bardzo pożądania godnem, żeby niemieccy nasi współobywatele dokładnie rozpatrzyli się w tych liczbach, a może nastąpiłoby niejakie upamiętanie w zapałach antypolskich tak ciężko się odbijających na pruskim worku państwowym.

Polityki antypolskiej głównie domagają się hakatyści. Niechajże tedy łożą też na tę politykę ze swojej kieszeni. Oni wszakże wolą brać niż dawać, boć wielka część z owych 36 milion, które pochłania polityka antypolska, płynie do kieszeni hakatystów. Gdyby było inaczej, polityka antypolska nie byłaby tak popularną, jak obecnie.

I jakie tej gospodarki owoce? Wszakżeż sami Niemcy przyznawają, że polityka antypolska zbankrutowała na całej linii, że zamiast osłabić wzmocniła żywiół polski i wykrzesała ze społeczeństwa polskiego siły wprost nieprzewidywane przez nikogo. Polityka ta przyczyniła się też w wielkiej mierze do rozbudzenia ruchu polskiego na G. Śląsku, a wypierając część robotnika polskiego z ojczystych dzielnic, spowodowała jego odpływ w czysto niemieckie strony nad Renem, gdzie wciąż rosnąca liczba Polaków dużo niepotrzebnego zresztą kłopotu sprawia hakatystom.

Wracając do sprawy niedoboru pruskiego, należy się spodziewać, że posłowie sejmowi bardzo szczegółowo i energicznie rozmówią się z panem ministrem finansów i wytłumaczą mu, że ludność tak dalece jest obciążona nieznośnemi wprost podatkami, że od ludności nie powinien się spodziewać pomocy w swej biedzie. Zalecić należy rządowi oszczędność i jeszcze raz oszczędność, którą rozpocząć należy od zrewidowania polityki antypolskiej, tej największej bolączki państwa pruskiego.



Sprawa wyborów katowickich w parlamencie.

Rozgłośna sprawa wyborów do rady miejskiej w Katowicach, obszernie omawiana we wszystkich gazetach w ostatnich tygodniach była w środę i w czwartek przedmiotem dwóch interpelacyj (polskiej i centrowej) w parlamencie niemieckim.

Interpelacyę centrową uzasadnił poseł hr. Oppersdorf. Mówca w dłuższych wywodach wykazał, że urzędnicy przez głosowanie na kandydatów polskich bynajmniej nie naruszyli swego obowiązku. Władze działały tu podług konceptu hakatystów stwarzających niebezpieczeństwo polskie tam, gdzie ono wogóle nie istnieje.

Kanclerzowi radził mówca, żeby urzędników na wschodzie w cztery oczy wybadał co do stósunków tamtejszych, a usłyszałby rzeczy, o których wszyscy tu wiemy, a które do niego jeszcze nie doszły. Polityka przeciwpolska należy do spraw sejmu pruskiego, gdzie ona też zostanie gruntownie omówioną; tu jednak zastrzegał się mówca przeciw usiłowaniom przeniesienia tej całej błędnej pruskiej polityki przeciwpolskiej, jak się to już stało przy ustawie o zebraniach i stowarzyszeniach, także na Rzeszę niemiecką.

Rząd opiera się na wycinkach z gazet, a nie wierzy posłom polskim, którzy przecież przysięgali na konstytucyę. Jeżeli w prywatnem życiu strzedz się trzeba przed obwinianiem kogoś o krzywoprzysięstwo, to trzeba to także czynić wobec posłów.

Polską interpelacyę uzasadnił poseł Korfanty. Przedstawił on jasno stósunki gminno-polityczne w Katowicach, potem całą natężoną pracę hakatyzmu przeciw Polakom górnośląskim. Przemówienie posła Korfantego przerywano często objawami zgody. Krytykując stanowisko rządu, oświadczył poseł Korfanty: Oskarżamy rząd, że wykroczył przeciw konstytucyi i żądamy, aby podobne zajścia się nie powtarzały.

W imieniu rządu odpowiedział bardzo słabo sekretarz stanu Delbrück, utrzymując, że załatwienie sprawy katowickiej zgadza się z postępowaniem władz pruskich. Ukarani zostali tylko ci, którzy w ściślejszych wyborach głosowali na Polaków, chociaż ustnie od swych władz przełożonych otrzymali inne wskazówki.

Dalsze obrady toczyły się w czwartek. Przemawiał wolnomyślny poseł Schrader, potępiając antypolską politykę rządu i ukracanie praw wyborczych urzędnikom.

Dalej nadzwyczaj ostro potępił poseł socyalistyczny Südekum całe postępowanie rządu i zaczepił kanclerza Bethmann Hollwega, że udając głuchoniemego wcale się nie pokazał w parlamencie.

Sekretarz stanu Delbrück marnie odpowiedział na ciężkie zarzuty. W obronie rządu przemawiał wolnokonserwatysta Kolbe starając się udowodnić, za pomocą wycinków z gazet niebezpieczeństwo, zagrażające rzekomo Prusom ze strony Polaków.

Wreszcie zabrał głos poseł dr. Zygmunt Dziembowski, wyrażając radość z powodu, że większość parlamentu potępiła jak najstanowczej postępowanie rządu. Czyż śmie kto na seryo twierdzić, że wybór dwóch Polaków do rady miejskiej w Katowicach podkopałby byt i bezpieczeństwo państwa niemieckiego? Hakatyzm spowodował ukaranie urzędników. Ruch narodowy na G. Śląsku nie został wniesiony z Poznania ani z Krakowa, lecz ma swoją siedzibę w gmachu królewsko pruskiej regencyi. O polskiem niebezpieczeństwie mowy być nie może, chociaż Polacy się bronią, bo dzieje się to jedynie w nadziei osiągnięcia uczciwego pokoju.

Jako ostatni przemawiał poseł wolnomyślny Doormann, który stanowczo potępił postępowanie rządu.

Przebieg dyskusyi nad interpelacyą stanowił bezwątpienia klęskę dla rządu.

Nędzne są kraju takiego losy,
Gdzie rządców sławę i czyny
Płochość bez zasług wznosi w niebiosy,
Zazdrość potępia bez winy.

Kajetan Koźmian (z Horacyusza).

* * *

Przestronno ci w kolebce, gdyś jest jeszcze dziecię;
Zostań mężem, a szczupło będzie ci na świecie.

Bruno Kiciński (z Schillera).

* * *

Oprawcom Richelieu'go patrzmy oko w oko,
I nim ją zetną, głowę dźwigajmy wysoko.

Wacław Szymanowski (z W. Hugo'na).



Germanizacya to protestantyzacya.

Hakatyści i rząd pruski bardzo nie lubią, jeżeli kto powie, że germanizacya równa się protestantyzacyi. To też za każdym razem, gdy kto z posłów w sejmie ten zarzut podniesie, natychmiast wstaje który z przedstawicieli rządowych i zaklina się na wszystkie świętości, że rządowi ani na myśl nie przychodzi protestantyzować dzielnic polskich.

Słowa — słowami, fakta — faktami.

Otóż z okazyi ustąpienia nadsuperintendenta Hesekiela donoszą gazety niemieckie, że w przeciągu ostatnich 23 lat zbudowano w samem W. Księstwie Poznańskiem 140 zborów luterskich. Jest to liczba bardzo okazała i świadczy o tak znacznym przypływie protestantów do naszego kraju, że nie można bez najwyższych obaw patrzeć w przyszłość.

Co wobec tego mają za znaczenie zapewnienia ministrów, że rządowi o protestantyzacyę nie chodzi? Chociażby się nawet uwierzyć chciało w szczerość tego orzeczenia, to należy zaznaczyć, że w życiu politycznem nie chodzi o to, co kto chce, lub czego nie chce, lecz o to, co faktycznie osiąga.

Faktycznie zaś osiąga rząd przez swą jednostronną akcyę kolonizacyjną t. j. przez popieranie prawie wyłącznie osadnictwa kolonistów protestanckich daleko idące sprotestantyzowanie dzielnic polskich, czego owe nowo wybudowane zbory wymowną są ilustracyą.

Wobec tego niechaj się nie dziwią ministrowie pruscy, że ich zapewnienia spotykają się tylko z gorżkim uśmiechem po stronie poszkodowanych i z protestem przeciwko akcyi kolonizacyjnej, która powoduje zmniejszanie się a nawet zupełne zniknięcie parafij katolickich w pasie kolonizacyjnym położonych. Bezstronności w dziedzinie wyznaniowej tylko wtedy rząd złożyłby dowody, gdyby popierał osadnictwo katolików i to w należytem procentualnem ustosunkowaniu do ludności przynależnej do obu wyznań, to znaczy, że w dzielnicach polskich powinno się przeważnie osiedlać kolonistów katolickich. Zostałaby zawsze jeszcze krzywda narodowa i ekonomiczna, lecz nie możnaby podnosić zarzutu, że germanizacya dąży do protestantyzacyi, jak się to dzieje dotychczas.

Zresztą bezstronność rządu na polu wyznaniowem jeszcze na innym gruncie bardzo łatwo można zaczepić.

Mianowicie w dziedzinie szkolnictwa. W wielu szkołach są nauczyciele protestanccy chociaż liczba uczniów protestanckich w porównaniu z katolikami jest znikająca. Dla przykładu tylko kilka takich szkół wyliczymy, a mianowicie: Nauczycieli ewangielików mają szkoły —w Gremblinie (80 katolickich, 19 ewangiel. dzieci), w Neuliebenau (?) (60 kat. 11 ew.), w Johannesbergu (?) (40 kat. 20 ew. dzieci), w Warmhofie (?) (52 kat. 5 ew. dzieci), w Milewku (52 kat. 10 ewang. dzieci),. W tych szkołach i innych tu nie wymienionych urzęduje tylko jeden nauczyciel i ten jest protestantem. W Gogolewie, gdzie jest 140 katolickich, a tylko 10 ewangielickich dzieci, jest jeden nauczyciel katolicki i jeden protestancki. Tak samo dzieje się w Rakowicach, gdzie na 181 katolickich dzieci tylko 9 jest protestanckich, to samo w Rynkowkach, gdzie na 160 katolickich i 3 ewangielickie dzieci przypada jeden nauczyciel katolik i jeden ewangielik. Nawet w takich miejscowościach, gdzie na stokilkadziesiąt, a nawet 200 i więcej dzieci katolickich przypada po 3, 13, 9, 19 dzieci protestanckich, jak w Łonżynie, Młyńcu, Bruchnowie i t. d. wszędzie obok nauczycieli katolików są i protestanci, podczas gdy w szkołach na początku tego krótkiego zestawienia wyliczonych, przeważająca znacznie liczba dzieci katolickich zmuszona jest pobierać naukę wyłącznie u nauczyciela ewangielika.

Nam Polakom i katolikom na nic się zdadzą oświadczenia ministrów, jeżeli przykłady tak jaskrawej nierównomierności nie zostaną usunięte. A ponieważ się na to nie zanosi, więc jeszcze długo będziemy się skarżyć, że germanizacya wiedzie do protestantyzacyi.

Nie masz przykładu w dziejach, ażeby wojownik umierający z orężem w ręku podniesionym przeciwko własnej ojczyźnie, był pomieszczony w szeregu wielkich ludzi.

Fr. Grzymała (z Napoleona I).

* * *

Jeśli prawdę chcecie wiedzieć:
Lepiej siedzieć, niźli stać,
Lepiej leżeć, niźli siedzieć,
Lepiej umrzeć, niźli spać.

Kazimierz Brodziński (myśl wschodnia).



Listy od przyjaciół.

Z Galicyi, 16-go stycznia 1910.

Rozpoczęliśmy nowy rok pracy i walki życiowej. W naszej dzielnicy rok ten będzie poświęcony czci wiekopomnej rocznicy bitwy grunwaldzkiej. Do chwili tej kraj nasz przygotowuje się uroczyście. Szczególnie nasz prastary Kraków, w którego murach odbędzie się główny obchód, do rocznicy przygotowuje się wspaniale. Zapewne wiadomo Wam o królewskim darze naszego wielkiego mistrza Paderewskiego, jak również o panoramie Styki. Po miastach i wsiach zawiązują się komitety, celem godnego uczczenia rocznicy. Nawet z Ameryki mają przyjechać nasi Bracia Rodacy.

Nowy rok polityczny rozpoczął się zwołaniem Sejmu krajowego. Już z początku widocznem było, iż Rusini prowadzić będą nadal obstrukcyę. W czasie dyskusyi budżetowej ujawniła się w Sejmie walka dwóch stronnictw t. j. dem. narodowej z prawicą narodową. Na razie obrady sejmowe dosyć jałowe. A czeka Sejm zadanie bardzo ważne jak np. sprawy reformy wyborczej, organizacyi rolniczej itp.

Między ludem wiejskim w ostatnich czasach pewne rozgoryczenie wywołała sprawa Banku parcelacyjnego. Nie kierujmy się tu złośliwością, ani osobistemi względami, lecz oceńmy tę sprawę zupełnie bezstronnie. Bank parcelacyjny zostawał pod Zarządem stronnictwa ludowego. W ostatnich czasach większość ludu polskiego zgromadziła się pod jego sztandarem, a swoje oszczędności składała w Banku parcelacyjnym. Szczęście jednak ludzi zaślepia. Tak i tu było. Bank był dla przewódców stronnictwa dojną krową. Zyski w Banku parcelacyjnym były bardzo wielkie, ale cóż z tego kiedy one są w kieszeni różnych delegatów, taksatorów, urzędników, mężów zaufania itp. w postaci kosztów administracyjnych i zwrotów kosztów podróży, to też dziś Bank parcelacyjny chwieje się, bo długi tegoż wynoszą 7.959.000 koron, a majątek 165.500 koron. Nauka więc z tego, aby w każdej sprawie, a szczególnie w polityce postępować rozumnie. Niestety są u nas ludzie, którzy mianują się obrońcami i męczennikami sprawy ludowej, a jednak tego wzniosłego hasła używają do celów partyjnych a co gorsza do celów osobistych.

Obserwator.



Z TEATRU.

„Sędziowie“ Stanisława Wyspiańskiego. — „Inteligent“ Bolesława Gorczyńskiego.

Wystawienie któregokolwiek z dzieł Wyspiańskiego bywa zazwyczaj zdarzeniem artystycznem. To też i sobotnia premiera zwabiła tłumy publiczności do teatru. „Sędziowie“ nie są najlepszem dziełem przedwcześnie zgasłego mistrza, mimo to zajmują poważne miejsce w dramatycznej literaturze współczesnej. Można dziełu temu zarzucić niejedno tak co do kompozycyi jak co do faktury zewnętrznej, lecz przyznać trzeba, że wrażenie, jakie całość wywołuje, jest niezwykle silne, a nie brak scen druzgocących potężnym, antycznym jakoby tragizmem, wstrząsającym do głębi duszą słuchacza. Antyteza sądu ludzkiego z jehowicznym wyrokiem odwiecznej sprawiedliwości, uwydatniającej się w głosie niemilknącego sumienia, znalazła w tej tragedyi niezrównanie głęboki i wstrząsający wyraz. Palec Boży dotknął czoła Samuelowego, a zbrodniarz i lichwiarz uginający się w pokorze pod karzącą ręką Opatrzności wyrasta w oczach naszych do wyżyn prawdziwie tragicznej postaci, której nie podobna odmówić współczucia.

Rzecz grano na ogół bardzo pięknie i wyreżyserowano znakomicie t. j. wiernie w stylu Wyspiańskiego.

Jewdochą była panna Turowicz, która zazwyczaj znakomitą jest przedstawicielką ról salonowych, lecz do ról tego typu co rola Jewdochy mniej jest odpowiednią. Mimo to kreacya panny Turowicz (lubo miejscami niedociągnięta) na ogół bardzo poważnie się prezentowała. Bez zarzutu był p. Andruszewski, który przy zwłokach Joasa (ładna kreacya p. Jedlicz) miał chwile nader szczęśliwe. Bardzo dobrze grał p. Kęcki Natana, a p. Boroński urlopnika. Wprost klasyczny był b. Czaki w roli głupiego Jukliego. Pan Szatkowski objął rolę ojca Jewdochy i był w grze, a szczególniej w masce, dobry.

Bolesława Gorczyńskiego „Inteligent“ — to dyalog dwóch studentów o dramacie, który z przyczyny jednego z nich odgrywa się w rzeczywistości o ścianę. Odbywa się tam wesele dziewczyny, którą jeden z tych inteligentów (Poleski) uwiódł, a która, nie chcąc żyć z niekochanym mężem, rzuca się z okna na bruk i kończy życie.

Sztuka napisana nie bez talentu i dość zajmująco, lubo większa zwięzłość byłaby jej wyszła na korzyść.

Pan Kęcki jako Poleski był słaby. Bez porównania lepiej wywiązał się z zadania p. Boroński jako Kotecki. Była tam jeszcze maleńka rolka ojca nieszczęśliwej dziewczyny, który pojawia się raz, by szukać córki u Poleskiego, a potem, by prosić go o ratunek, gdy rzuciła się z okna. Ojcem tym był pan Czaki. Artysta potrafił w swoje nieśmiałe zdania włożyć tyle przejmującego wyrazu, że szczerze wzruszył audytoryum. Takie miniaturowe czyny artystyczne giną zazwyczaj niepostrzeżenie w rozgardyaszu, który sprawiają bohaterzy, a przecież warte są życzliwej wzmianki. *R.*



Feliks Lubierzyński.

Z Wystawy „Stowarzyszenia Artystów.“

Czwarta z rzędu wystawa Stowarzyszenia artystów jest z dotychczasowych wystaw może najokazalszą.

Na pierwszy plan wysuwają się krajobrazy *St. Gałka* z Zakopanego. Piękno i powab naszej przyrody tatrzańskiej daje nam artysta w liniach zdecydowanych i pewnych oraz w śmiałych rzutach barw. Jego „Krokusy“ podpatrzone w rozkwicie małych fioletowych kielichów tej pięknej rośliny górskiej wywołują przy świetnie w kolorystyce wyczutem powietrzu górskiem, ponad roztopionym już miejscami śniegiem, czar i złudzenie życia wiosny zakopańskiej.

„Mgły nad Morskiem Okiem“ i „Nad Stawem Gąsiennicowym“, a dalej „Rysy w zachodzącem słońcu“ działają znów potęgą konturów i kolorystyką, szczególnie w oświetleniu szczytów śmiałą i prawdziwą. Inne pomniejsze krajobrazy, o rysunku w zarysie wprawnym i czystym, celują artyzmem głównie w posługiwaniu się plamą barwną.

Z pejsaży zakopańskich mamy jeszcze *K. Brzozowskiego* doskonałą w zamgłonych konturach i nastroju „Śnieżycę w Zakopanem“ i *Żarneckiego* prace pastelowe, odznaczające się przedewszystkiem efektowną i w oświetleniu oryginalną kolorystyką. To samo można powiedzieć także o jego portretach, z pośród których wyróżnia się szczególnie dobrą charakterystyką „Autoportret“ artysty.

W obrazach rodzajowych tematy najrozmaitsze. *Karola Wierusz-Kowalskiego* „Powrót z jarmarku“ w technice i kompozycyi wzorowany na podobnych Alfreda Wierusz-Kowalskiego. *St. Korzeniowskiego* „Praczki“ z świetnie oddaną parą, unoszącą się ponad niemi, poprawny w rysunku, lecz w barwie trochę twardy i niedociągnięty. *Setkowicza* „Narada“, Krakus i Krakowianka, na jaskrawo zielonej polanie, jest sztywna w układzie. *Kotowskiego* „Naganka“, traktowana więcej szkicowo, robi wrażenie niewykończonego fragmentu. Wreszcie *Jerzego Kossaka,* syna Wojciecha Kossaka, akwarelowa „Scena z balu“, pomimo licznych jeszcze usterek pod względem rysunku dobra w oddaniu nastroju sali balowej i kolorystyce mundurów ułańskich.

W portrecie wysunął się na czoło znany już u nas powszechnie artysta *Kazimierz Szmyt.* Dobrą charakterystyką wyróżnia się szczególnie jego portret p. R. oaz efektowna w kolorycie „Rusinka“, jak wogóle wszystkie portrety tegoż artysty odznaczają się doskonałem uchwyceniem wyrazu danej postaci.

Graczyńskiego studyum portretowe „Lulu“, główka w wyrazie i kompozycyi bardzo sympatyczna.

Gwozdeckiego „Róże“ drgają wprost życiem, czuć w nich zapach i świeżość, lecz w śmiałych rzutach plamy barwnej traktowane trochę brutalnie pozbawione są wdzięku. *Sieniawskiej* „Chryzantemy“, „Białe róże“ i „Owoce“ w kolorycie i rysunku bardzo subtelne, opracowane z prawdziwie kobiecą ścisłością, za mało wychodzą z tła. Oryginalne natomiast są jej „Róże z tłem perspektywicznem“. *J. Nowickiego* „Lewkonie“ w kilku waryacyach i „Pelargonie“ mają zręcznie dobrane i efektowne tło o kolorystyce żywej i dobrze sharmonizowanej.

Z rzeźb odznaczają się poprawną modulacyą i dobrym rysunkiem „Biust męski“ i „Biust kobiecy“ *Glinkiewicza,* ostro zarysowana głowa kobieca *Glabiana* „Sfinks“, *Gruberskiego* płasko-rzeźba portretowa artysty dram. Kosińskiego, oraz dwie główki *Mańczaka.*

Wystawa, która w dotychczasowym lokalu Stowarzyszenia Artystów przy ul. Bismarcka przez cały bieżący miesiąc pozostanie jeszcze otwartą, powinna ogół publiczności naszej szczerze zainteresować.



Ekonomiczne znaczenie i wartość patentów.

(Szczególnie na podstawie praw niemieckich). Napisał inż. dypl. Dr. Maryan Kryzan, rzecznik patentowy w Poznaniu.

Ktokolwiek stara się o patent i uzyskuje go, ma na myśli osięgnąć z jego posiadania jakiś zysk materyalny. Jest to słuszne i naturalne żądanie. I zwykle też, jeźli się kto nie spodziewa nagłych i ogromnych zysków, jakichś bajecznych poprostu dochodów, nadzieja zysku spełnia się w odpowiedniej mierze, zależnie od zainteresowania się kół przemysłowych opatentowanym przedmiotem, jako też od sposobu kupieckiego, w jaki właściciel patentu zdoła wykorzystać otrzymany przywilej.

Ponieważ od tych dwóch czynników zależy zyskowność patentu, więc każdy, kto stara się o uprzywilejowanie dla siebie jakiegoś pomysłu, powinien po pierwsze mieć mniej więcej pogląd na to, czy pomysłem tym zajmą się w praktyce koła przemysłowe, powtóre zaś powinien mieć dokładny pogląd na sposoby ekonomiczne wykorzystania patentu. Co do pierwszego punktu, rzadko można przy zgłaszaniu się o patent, względnie uzyskawszy go, orzec z niejaką pewnością, iż opatentowany pomysł zainteresuje świat przemysłowy, gdyż zależy to od równoczesnych nowych wynalazków w tejże dziedzinie, od konjunktur handlowych i t. d. Nieraz pomysł zrazu pomijany, wzbudza po kilku latach, wskutek rozwoju jakiejś odnogi przemysłu, żywsze zainteresowanie; bywało już, że nawet fachowcy uznawali patent jakiś za praktycznie nic nie wart, a tymczasem po kilku latach wzbudził on zajęcie i dał właścicielowi znakomite zyski. Bądź co bądź w tym względzie wynalazcy i właściciele patentów, licząc na zyski, powinni zawsze zachować pewną powściągliwość w nadziejach i świadomość o ryzyku. Co się zaś tyczy sposobów finansowania przywileju patentowego, to niejeden wynalazca mógłby uchronić się od przykrych zawodów, gdyby z góry był świadomy dokładnie, na czem polega wartość ekonomiczna przywileju i jak w czasie posiadania go zamienić ją w praktyce najlepiej na materyalne dochody.

Znaczenie ekonomiczne i wartość każdego patentu polega na tem, że jest on **przedmiotem handlowym.** Ta jego właściwość zasadza się na zawartych w patencie, prawnie zagwarantowanych (§ 4 ustawy patentowej) przywilejach wyłącznej fabrykacyi, rozpowszechniania wystawiania na sprzedaż i jakiegokolwiek używania patentowanego przedmiotu. Ponieważ z prawa wyłącznej fabrykacyi i rozpowszechnienia jakiejś rzeczy można mieć materyalne zyski, tem większe, im o przedmot ten więcej się dopytują, więc prawo to jest ruchomym przedmiotem wartościowym, który można sprzedawać lub przekazywać w inny sposób drugim.

Ustawa patentowa w § 6. wyraźnie określiła przywilej patentowy jako wartość handlową, jako przedmiot obiegu handlowego, mówiąc, że patent jako też istniejąca na podstawie zameldowania pretensya o udzielenie patentu przechodzą w razie śmierci właściciela na spadkobierców, i że można prawo to w całości lub częściowo przekazywać innym umową lub testamentem.

Wyniika więc z tego, że można patent, jak każde inne uprawnienie, **sprzedawać, zamieniać, darować,** jako też i **dawać w użytkowanie** w całości lub częściowo.

W praktyce więc wykorzystać można finansowo każdy patent w trojaki sposób:

1) za pomocą **fabrykacyi** rzeczy patentowanej li tylko na **własną rękę** i sprzedaży wyrobów,

2) za pomocą **sprzedaży** patentu względnie zamiany, t. j. oddania uprawnienia za gotówkę lub za jakiś przedmiot wartościowy, handlowy,

3) za pomocą udzielania przywilejów u-żytkowania, t. zw. **licencyi.**

Co do fabrykacyi jedynie na własną rękę, to zapewne tylko tacy wynalazcy z korzyścią posługiwać się nią mogą, którzy w odnośnej gałęzi przemysłowej posiadają należytą rutynę i zarazem też odpowiednią biegłość kupiecką, ażeby wyrób swój rozpowszechnić i korzystnie sprzedawać, lub którzy do rozsprzedaży mają pod ręką dzielnych pomocników. Sprzedaż fabrykowanego na własną rękę przedmiotu patentowanego przez właściciela patentu odbywa się też na ogół hurtownie, co przy odpowiedniem reklamowaniu po pismach fachowych i t. d. nie przedstawia zbyt wielkiego trudu.

Znaną jest rzeczą, że kto chce na własną rękę fabrykować i sprzedawać przedmiot patentu, powinien mieć odpowiedni ku temu kapitał. Jeźli n. p. ślusarz otrzyma patent na nowy swego pomysłu zamek lub klucz, to może go wprawdzie najtaniej wyrabiać we własnej pracowni, ale z korzyścią istotną jedynie wtedy, gdy ma odpowiedni kapitał, by rozprzestrzenić jak należy warsztat i za pomocą reklamy dać światu poznać swój wynalazek. Inaczej, choćby wyrabiany przez niego zamek lub klucz miał zalety znaczne przed innemi, nie będzie mógł wyrabiając ich mało, i nieznany szerszym kołom, wykorzystać patentu materyalnie. W takich razach przyjęcie wspólnika z kapitałem, lub utworzenie towarzystwa celem wykorzystania wynalazku przedstawia dla właściciela patentu lepsze zyski, niż borykanie się z pracą samemu, ażeby z zysków „nic nie uronić.“

Zdarza się bardzo często, że uczyni ktoś wynalazek przedmiotu użytecznego w jego własnym zawodzie, ale którego sam nie zdoła wyrabiać, z którego więc w własnej pracowni korzystać może, który jednak wykorzystać może w pełni finansowo tylko wtedy, gdy przedmiot stanie się szeroko znanym w tymże zawodzie i cenionym. Jeśli n. p. właściciel wielkiej stolarni otrzyma patent na nowe narzędzie do obróbki drzewa, może bez względu na to, czy inni uznają je za dobre lub nie, mieć wielką z niego korzyść u siebie, przyspieszając fabrykacyę mebli i t. d., ale chcąc wykorzystać w zupełności patent, musiałby, jeźli go nie chce sprzedać, kupić narzędzia i wyrabiać na swój rachunek w jakiej fabryce i zająć się potem sam lub przez pośredników sprzedażą. Wtedy byłaby to fabrykacya na własną rękę, jakkolwiek nie we własnej pracowni.

Sprzedaż patentu w całości jest najpraktyczniejszym sposobem wykorzystania go finansowo dla wszystkich tych, którzy nie posiadają sami fabryki lub pracowni do wyrabiania patentowanego przedmiotu, lub odpowiedniego kapitału i t. d. Dla większej części wynalazców, szczególnie takich, którzy obmyślili rzecz **nie** mającą związku z ich zawodem lub zajęciem, sprzedaż korzystna przywileju patentowego jest marzeniem, niestety często płonnem. Tacy nie mając fachowych znajomości odnośnej gałęzi przemysłu, w której ich wynalazek może znaleść zastosowanie, przeceniają często doniosłość jego, i żądają od razu kroci... Tem zaś odstręczają tylko wszystkich, którzyby popróbować chcieli szczęścia z ich pomysłem. Pospolitym błędem wynalazców chcących spieniężyć patent jak najprędzej jest udawanie się o pośrednictwo do niewyraźnych firm i niepewnych agentów, obiecujących nieraz złote góry i żądających zaliczek! Układ, mocą którego pewnej firmie zleca się pośredniczenie w sprzedaży, powinien być co do czasu ograniczony, a więc n. p. na czas 3 tygodni lub 3 miesięcy, ażeby potem właściciel patentu mógł się oglądać na inne strony.

Korzystnem być może nieraz, o ile się nie znajdzie kupca na patent, chcącego od razu zapłacić większą sumę, sprzedać patent na rozpłaty, oczywiście w takich razach powinna umowa być tak ułożona, by sprzedający skutkiem popadnięcia nabywcy w konkurs i t. p. nie miał strat. Szczegóły umów takich zależą od stosowania się do przepisów prawa cywilnego.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości.

— Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechniać gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy“ zachęcali. „Praca“ jest najodpowiedniejszem dla rodzin illustrowanem pismem tygodniowem.

„Pracę“ wciąż jeszcze zapisywać można na poczcie na bieżący kwartał.

— Czytelników naszych prosimy uprzejmie, ażeby przy wszelkich zakupnach powoływali się zawsze na inseraty, zamieszczone w „Pracy.“

— Prośba do Czytelników. Ponieważ numera 51-szy i 52-gi „Pracy“ z roku zeszłego są u nas zupełnie wyczerpane, a potrzebujemy bardzo wzmiankowanych numerów do skompletowania rocznika i t. d., więc prosimy tych naszych Szan. Czytelników, którzy numera 51-szy i 52-gi „Pracy“ z roku zeszłego mają na zbyciu, aby nam je łaskawie nadesłać raczyli.

— **W koncercie,** który odbędzie się w Poznaniu 24-go stycznia na dochód funduszu żelaznego Stacyi sanitarnych i ubogich konferencyi N. N. P. M., wezmą udział p. Wiesława Cichowiczówna, p. dr. Jarnatowski i p. Mieczysław Eichstaedt. Bilety złożono we firmie J. Wieklińskiego w Bazarze. Wszystkich biedzie naszej życzliwych prosimy o wzięcie udziału również i w balu, który po koncercie nastąpi na białej sali w Bazarze.

Komitet.

Rewizya policyjna. Komisarz kryminalny urządził w zeszłym tygodniu z dwoma pomocnikami w księgarni p. M. Niemierkiewicza znowu dwukrotnie rewizyę, poszukując i zabierając „Śpiewniki Sokole“ Barańskiego, a następnie telegramy „Kościuszkowskie“ ze znanym Eljasza rysunkiem, wyobrażającym Sokoła, uwalniającego orła z pod ziemi.

Z wspólnej kasy chorych Nr. 4. Zarząd kasy chorych Nr. 4 ogłosił dla wygody członków dentystę p. M. Schulza, mieszkającego przy Starym Rynku jako kasowego dentystę, na co zwracamy uwagę interesowanym członkom. Pan M. Schulz uchodzi za biegłego fachowca, więc może wszelkim, nawet najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić.

„Straż“. Chleb dla swoich. Następujący rodacy, posiadający zakładowy kapitał, znaj-

dą bez współzawodnictwa swoich dobre utrzymanie: 1) siodlarz, 2) zegarmistrz, 3) kupiec bielizny męskiej, 4) krawiec, 5) kołodziej — 4 morgi roli i budynki — potrzeba 2000 mrk. Oprócz tego do nabycia gościniec we wsi kościelnej — 20 mórg ziemi — potrzeba 8000 mrk.

Równocześnie zapytujemy się towarzystw przemysłowych i kupieckich, szan. księży oraz osób zaufanych — potrzebne w tym przypadku 3 podpisy — gdzieby mogli się osiedlić: 1) stelmach, 2) rzeźnik, 3) kowal i ślusarz budowlany, 4) skład dewocyjny, 5) dwóch kupców bławatnych, 6) kowal, 7) piekarz, 8) restaurator, 9) skład cygar i papierosów, 10) gorzelnik na obczyźnie prosi o posadę.

Bliższych informacyj udzieli biuro „Straży“. Adr. Dr. Fr. Schroeder Poznań—Posen.

Prosimy o znaczek 20 fenyg. na odpowiedź.

— **Srebrny jubileusz.** Dnia 13-go b. m. obchodził znany i szanowany obywatel poznański p. **Maksymilian Skowroński** 25-letni jubileusz małżeński. Na intencyę Jubilatów odprawioną została msza św. w kaplicy Pana Jezusa. Telegramów z życzeniami nadeszło przeszło 100. Za inicyatywą p. F. Szczesnowskiego zebrano 15 marek na zakład św. Józefa.

Szanownym Jubilatom życzę, żeby się przy czerstwem zdrowiu doczekali co najmniej złotych godów małżeńskich.

Przyjaciel.

Września. We wtorek, dnia 11-go b. m. wieczorem, pobłogosławiony został w tutejszym parafialnym kościele związek małżeński między panną Teklą Chmarówną, córką zmarłych w Wrześni ś. p. małżonków Kazimierza Chmary i Anny z Stroińskich, — a panem Ludwikiem Karpińskim, kupcem z Krobi, synem pp. Bolesława i Pelagii z Stankiewiczów, małżonków Karpińskich z Szamotuł. Aktu ślubnego dokonał miejscowy wikaryusz ks. Mann. Do podniesienia ślubnej uroczystości przyczynił się wielce piękny śpiew towarzystwa „Lutni“. Gości weselnych podejmowały serdecznie siostry panny młodej. Nadeszła z życzeniami liczna ilość telegramów, przeważnie narodowych. Szczęść Boże młodej parze!

Jeden z uczestników.

— **Kościan.** Tutejsza „Lutnia“ odegra w niedzielę, dnia 30-go b. m. na sali p. G. Lurca operetkę w 3-ch aktach p. t. „Oj ta wdówka.“ Początek przedstawienia o godzinie pół do 8-mej wieczorem. Po przedstawieniu tańce.

O jak najliczniejszy udział uprasza

Zarząd.

Wolsztyn. Towarzystwo Rzemieślników Polsko-katolickich urządza w niedzielę, 30 bm. zabawę zimową, połączoną z przedstawieniem amatorskiem. Odegrane będą sztuki: „Stryj przyjechał“ i „Za nic żydowskie swaty.“ Po przedstawieniu odbędzie się zabawa z tańcami.

Towarzystwo czyni wszelkie starania, ażeby widzów i gości zadowolić pod każdym względem. Radzimy Szan. Publiczności Wolsztyna i okolicy, ażeby się zawczasu zaopatrzyła w bilety.

— **Z Galicyi.** Upraszam bardzo o łaskawą pomoc w odszukaniu rodziny **Pawłowskich**, pochodzącej z Kruświcy, złożonej z członków: Mieczysława, Jana (subiekt-buchalter), Jadwigi i Leokadyi. Imion rodziców nie znam. — O ile mi się zdaje Pawłowski (ojciec) był przed 10 laty urzędnikiem przy poczcie w Kruświcy. Zależy mi bardzo na odnalezieniu tych drogich osób — pragnienie to jest moje, póki żyję, a jestem chory, więc chciałbym się i z nimi porozumieć.

Czytelnik „Pracy“.

Od Redakcyi: Upraszamy o łaskawe nadesłanie informacyj w powyższej sprawie pod naszym adresem.

Nowe książki i treść pism.

— **Polecenia godne książki.** 1) Prawo podatkowe w Prusiech, z wzorami reklamacyi w niemieckim i polskim języku i dodatkiem zmian prawa podatkowego z mocy nowej ustawy z dnia 26-go maja 1909 roku. Cena 50 fen. 2) Prawo policyjne w Prusiech. Cena 50 fen. 3) Imiona i nazwiska wobec prawa. Cena 50 fen. 4) Prawo procesowe cywilne w Prusiech. Cena 75 fen. 6) Nowe prawo o stowarzyszeniach i zebraniach. Cena 75 fen. Wszystkie te rzeczy opracował i wydał K. Kościński w Poznaniu. Nabyć je można w każdej księgarni.

— **Ruchu chrześciańsko-społecznego** ukazał się zeszyt 4-ty i zawiera: O potrzebie i sposobie kształcenia się kierowników biur bezpłatnej porady prawnej (Konstanty Kościński). — Przyczynek do zbadania ruchu ludnościowego w W. Ks. Poznańskiem na podstawie spostrzeżeń poczynionych podczas kolendy w parafii murzynowskiej r. 1909 (Ks. Jan Donat). — Urządzenia dobroczynne miasta Poznania (X. Szczęsny Dettloff). — O społecznych zadaniach i potrzebie organizacyi nauczycielek (Z.) — Pierwszy Dom ludowy w Warszawie. — Materyał do wykładów i nauk: Rekolekcye dla robotników. — Sądy dla młodocianych przestępców. — W jaki sposób mści się przekraczanie VI. przykazania?

Treść zeszytu dopełniają obficie zaopatrzone przeglądy z dziedzin społecznych p. t.: Ruch ekonomiczno-społeczny, z ruchu socyalistycznego (zwracamy szczególną uwagę na artykuł: „Pod junkrem polskim czyli „swoi u swego““), socyalna obrona prawna, wiadomości literackie oraz przegląd rozpraw i artykułów w peryodycznych pismach socyalnych.

— **„Śpiewaka,“** miesięcznika literacko-muzycznego wyszedł nr. 1-szy na styczeń i zawiera: Od wydziału. — Echa Zjazdu walnego dnia 4-go lipca 1909. — Pieśni narodowe Słowian południowych. (Ciąg dalszy). — Wiadomości ze świata muzycznego. — Rozmaitości. — Dodatek muzyczny.

— **„Przewodnika Zdrowia“** (Czarnowski, Berlin Weissenburgerstr. 27)), nr. 1-szy (na styczeń) wyszedł i zawiera: Nasz program na przyszłość! — Wychowanie przerodne. — Chleb nasz powszedni. — Opiekanki jarskie. — Ostrzeżenie przed środkami „upiększającymi biust.“ — 10,000 mrk. zarobku! (Ważny i zajmujący konkurs). — Zdrowotne wskazówki na porę obecną. — Przestrogi i rady.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Jan Wierciński,** proboszcz z Wysina w Prusach Zach., dnia 13-go b. m. w Gdańsku w 66-tym roku życia, a 30-tym kapłaństwa. — **Ś. p. Zygmunt Stanke,** em. nauczyciel gimnazyalny, dnia 9-go b. m. w Berlinie w 75-tym roku życia. — **Ś. p. Jan Zielewicz,** doktor filozofii, bibliotekarz król. biblioteki w Berlinie syn radcostwa Zielewiczów z Poznania, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 36-tym roku życia. — **Ś. p. z Kossowskich Leontyna Zabłocka,** dnia 10-go b. m. w Hamerni w Galicyi. — **Ś. p. Tekla Hoffmann z Sikorskich,** dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 85-tym roku życia. — **Ś. p. Stanisław Taczanowski,** dnia 12-go b. m. w Królestwie Polskiem w 40-tym roku życia. — **Ś. p. Gabryela Nawrocka,** dnia 12-go b. m. w Rakoniewicach w 21-ej wiośnie życia. — **Ś. p. Wojciech May,** dnia 13-go b. m. w Poznaniu w 76-tym roku życia. — **Ś. p. Bronisława z Kucharskich Jankowska,** dnia 13-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Edmund Pomianowski,** dnia 16-go b. m. w Kruświcy. — **Ś. p. Leon Zielaskowski,** dnia 14-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 24. — **Ś. p. Józef Jakubowski,** dnia 15-go b. m. w Sikorowie, przeżywszy lat 86. — **Ś. p. Klara Jackowska,** dnia 17-go b. m. w Toruniu w 18-tej wiośnie życia. — **Ś. p. Władysława z Paluchów Walkowska,** dnia 17-go b. m. w Ostrowitem prym. — **Ś. p. Franciszek Bieńkowski,**, dnia 17-go b. m. w Berlinie, przeżywszy lat 56. — **Ś. p. Bolesław Urbański,** dnia 6-go b. m. w Warszawie, przeżywszy lat 35. — **Ś. p. Edmund Suszczyńskki,** dnia 16-go b. m. w Poznaniu w 33-cim roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Komitetowi Szopenowskiemu w Poznaniu.** Nie zamieścimy, ponieważ inne pisma otrzymały wiadomy k munikat nieomal tydzień rychlej. Zresztą odebraliśmy komun kat już po zamknięciu redakcyi numeru 4-go „Pracy“.

— **Panu Zygmuntowi Kr. w Poznaniu.** — Łamigłówek, szarad, logogryfów i t. p. otrzymujemy taką ilość, że nie możemy wszystkich zamieścić.

— **Pani Maryi J. w Poznaniu—Warszawie.** — Nadesłany utwór nie nadaje się do zamieszczenia w „Pracy.“

— **Sekundanerowi wyższemu w L.** — Wet za wet, więc odpowiadamy wierszem

„Przy szklaneczce wina,
„Choć wesoła mina,
„Ale wierszyk marny,
„Więc do kosza zdarny.
„Zamiast trącać w szklanki,
„Pytać o kochanki,
„Józku! marsz do książki,
„Tam twe obowiązki!“

— **Panu P. D. w Gołubiu.** — Poinformuje Szan. Pana w tej sprawie firma „Kastor.“ Właściciel H. Grześkowiak w Poznaniu przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 17.

— **Panu J. D. w D.** — Zabawa wiadoma odbyła się w zamkniętem gronie, więc miała charakter prywatny, dla tego nadesłana notatka nie nadaje się do druku.

— **Panu J. C. w Z.** — „Praca“ wychodziła jako pismo codzienne od dnia 1. I. 1897 do końca marca tegoż roku.

— **Panu Józefowi Z. w U. (Prusy Zachodnie).** — Sekretarzem jest p. Neumann w Poznaniu przy ulicy Strzeleckiej nr. 31. II.

— **Panu H. P. w Hamburgu.** — Ustawa o wywłaszczeniu została uchwaloną i sankcyonowaną przez króla przed półtora rokiem, jest więc już dawno prawomocną. Przeczytaj Szan. Pan zresztą z uwagą artykuł wstępny, zamieszczony w tej sprawie w nr. 3-cim „Pracy.“



Pod flagą „iście-rosyjskiego“ nacyonalizmu.

(Korespondencya własna).

Petersburg, 14 stycznia.

Spóźniająca się zawsze i ze wszyskiem Rosya, wita dziś, w 13 dni później, niż Europa, początek nowego 1910 roku. Ta różnica kalendarza jest też jakby symbolem całego życia rosyjskiego. Rozwój jego, zwłaszcza pod względem politycznym, idzie tak wolnym krokiem, że nawet Turcya i Persya prześcignęły dziś Rosyę, która obecnie, pomimo Dumy, pozostała dawną wschodnią despotyą — z jej korupcyą i samowolnemi rządami satrapów... Komedya konstytucyjna stała się tylko nową furtką dla reakcyi — furtką, przez którą przecisnęły się na widownię rosyjskiego życia politycznego najwstrętniejsze męty społeczne, rozmaici Dubruninowie i Puryszkiewicze, którzy w imię „iście rosyjskiego“ patryotyzmu zachęcają rząd do nowych gwałtów, do nowych rozbojów narodowych. A rząd rosyjski zaciera ręce z radości i spełnia z pośpiechem i zadowoleniem projekty czarnosiecinnych polityków. „Konstytucya,“ którą z takim strachem ogłosił, okazała się bardzo wygodną. Dawniej gnębił Polaków, dokonywał zamachów na Finlandyę itp. na własny rachunek, dziś chowa się za parawanik „przedstawicieli narodu“! Spełnia tylko to, do czego go wzywają wodzowie „iście rosyjskiego nacyonalizmu“. Pod znakiem tego nacyonalizmu rozwijała się cała wewnętrzna polityka rządu rosyjskiego w roku ubiegłym. To też w artykułach noworocznych prasa reakcyjna z zadowoleniem stwierdza swe „tryumfy“. Istotnie, ma z czego tryumfować. Wprawdzie już w latach poprzednich zdeptano ostatecznie strzępki manifestu konstytucyjnego i zlikwidowano „okres wolnościowy“, ale w roku ubiegłym system reakcyjny był wolny od wszelkich wahań i zboczeń. Co do nas, Polaków, to już dawno straciliśmy złudzenia, abyśmy mogli cośkolwiek uzyskać od rządu rosyjskiego, a lata poprzednie przyniosły nam najdotkliwsze ciosy i rozczarowania. Niemniej i rok ubiegły (choć zdawało się, że gorzej już być nie może) przyniósł nam nowe gwałty lub zapowiedzi nowych gwałtów. Zwracając się do największego ośrodka polskości, do Królestwa Polskiego, wysunąć należy na plan pierwszy sprawę *odłączenia Chełmszczyzny*. Projekt ten, jak wiadomo, powstał już w r. 1908, jednakże w roku ubiegłym skrystalizował się wyraźniej i nabrał cech zupełnie konkretnych. W lutym uchwaliła projekt Rada ministrów, uznano go za sprawę pierwszorzędnego znaczenia państwowego i zapowiedziano pośpieszne jej traktowanie. Dotychczas oderwanie Chełmszczyzny nie wyszło wszakże poza obręb narad podkomisyi Dumy.

Podnieść tu należy, iż bezpośrednio po projekcie chełmskim silniej się zaznaczają przejawy nieprzejednanego względem nas stanowiska. Dość przypomnieć, że w kwietniu minister sprawiedliwości, *Szczegłowitów*, wygłosił słynną swoją mowę *o zaśmieceniu sądownictwa przez Polaków*. Słowa te nie spotkały się z żadnem zaprzeczeniem, przez co niejako uzyskały aprobatę.

Wraz ze wznowieniem na jesieni posiedzeń Dumy wpłynęły szczególnie dwa projekty, dotyczące Polaków: samorząd ziemski dla Litwy i Rusi i samorząd miejski dla Królestwa. Oba projekty (nawiasem mówiąc będą one długo jeszcze projektami) stanowią w rzeczywistości karykaturę samorządu. Mamy tam kurye narodowościowe i wyznaniowe, nie znajdujące nigdzie na świecie ani przykładów, ani tem mniej naśladowań, i wyłączną przewagę żywiołu rosyjskiego, projekt zaś samorządu miejskiego w Królestwie ogranicza do minimum kompetencyę organów samorządowych.

Równocześnie z tymi projektami wyrósł jeszcze jeden „prawdziwie rosyjski“, dotyczący wyborów do Rady państwa na Litwie i Rusi. Przedstawicielstwo polskie składa się w Radzie z niewielu jednostek, rosyjskim mężom politycznym wydawało się to jednakowoż nienormalnem i niebezpiecznem, przeto wnieśli, by i przy wyborach do Rady zastosowano system kuryi narodowościowych. Pokierowano na razie sprawę tak, że, jakkolwiek sfery rządowe podzielały w zupełności opinię wnioskodawców, odbyły się latem wybory posłów na rok jeden, w roku zaś obecnym sprawa kuryj narodowościowych w ordynacyi wyborczej ma być załatwiona ustawowo w związku z samorządem ziemskim.

Na rok ubiegły przypadł również szereg faktów takich, jak *zamknięcie w Królestwie tow. wpisów szkolnych, zakaz używania języka polskiego* w szkołach utrzymywanych przez gminę ewangelicką w Warszawie, wydanie okólników krępujących prywatne szkolnictwo polskie, zamknięcie „Oświaty“ mińskiej, kijowskiej, nieswieskiej, wreszcie znamienny ukaz senatu, decydujący o losach oświatowych towarzystw polskich na Litwie i Rusi. Jestto linia postępowania wyrazista, dotykająca najelementarniejszych naszych potrzeb, świadcząca nakoniec o jasnym i ściśle określonym programie politycznym „konstytucyjnej Rosyi“.

Do bilansu roku ubiegłego należy dodać jeszcze jeden fakt znamienny, zupełne bankructwo neoslawizmu, który utonął w morzu rosyjskiego nacyonalizmu. A wraz z neoslawizmem znikły nadzieje *porozumienia ze społeczeństwem rosyjskiem*, które z nielicznemi wyjątkami, zostało zarażone jadem nacyonalizmu. To fakt, z którego powinniśmy sobie zdawać sprawę. Pod flagą nacyonalistyczną stanęło również rządzące dziś w Rosyi i w Dumie stronnictwo — Październikowcy. Przyznaje się do tego wyraźnie organ Październikowców „Gołos Moskwy“ w programowym świątecznym artykule. „Ocalenie — woła — dla nas znaleziono. *Tkwi ono w dewizie „Rosya dla Rosyan“.* Hasło to wyrywa się dziś z wielu piersi, jako westchnienie ulgi“.

Jasno i dobitnie!

Równie jasno i wyraźnie scharakteryzował neoslawizm rosyjski „prawdziwy“ Rosyanin bar. Stieglitz. W „Russk. sobraniu“ wygłosił on odczyt, w którym postawił następującą tezę: polityka wewnętrzna państwa powinna rządzić się zasadami nacyonalizmu rosyjskiego, natomiast zewnętrzna — dążyć do przymierza wszechsłowiańskiego z Rosyą na czele. Otwartość godna uznania. Nacyonaliści rosyjscy pragną pogodzić dążność do wynarodowienia Słowian w Rosyi z czułością wybec Słowian zakordonowych. Pójdźcie w nasze objęcia! sprzymierzajcie się pod naszem kierownictwem braterskiem! — mówią do Słowian zakordonowych, a w duszy dodają: — a gdy już będziecie w naszem objęciu, zastosujemy do was zasady naszej polityki wewnętrznej. Baron Stieglitz powiedział to otwarcie i najwyraźniej, co mu zapewni wdzięczność tych wszystkich „braci zakordonowych“, którzy jeszcze o istotnych celach słowianofilstwa rosyjskiego wątpili...

Zaiste do szkodzenia innym jesteśmy bardzo przemyślni i silni.

Dawid Pilchowski (z Seneki).

* * *

Dobra przyprawa czyni smak dobry. Trzeba mieć pełne usta cukru do słów słodzenia.

Wacław Sierakowski (z Gracyana.)



Z ojczystych stron.

PUŁAWY.

(Ciąg dalszy).

II.

Rodzina Czartoryskich.

Właścicielem Puław, które właśnie poznaliśmy, był książę Adam Kazimierz Czartoryski, generał ziem podolskich. Pochodził on z rodziny, której znaczenie wzrosło bardzo pod koniec XVIII. wieku, kiedy utworzyła ona stronnictwo polityczne, zwane „Familią“ i odegrała bardzo ważną rolę w schyłkowych dziejach niepodległej Polski.

Czartoryscy byli spokrewnieni z wygasłymi w XVII. wieku rodami Tęczyńskich i Opalińskich, później węzły pokrewieństwa złączyły ich z Sieniawskimi i z Denhofami. „Matką rodu“ Czartoryskich była Marya Zofia Denhofowa, z domu Sieniawska. Pani ta, najbogatsza dziedziczka w kraju, wyszła za Augusta Czartoryskiego, wojewodę ruskiego, ojca księcia Adama. Dzieci ich: Adam i Elżbieta podzielili się olbrzymim majątkiem rodziców. Książę Adam, znany pod nazwą „generała ziem podolskich,“ stał się właścicielem Puław i za niego to Puławy doszły do niezwykłej świetności.

Znane są polityczne czyny i zasługi „Familii.“ — Czartoryscy widzieli nieszczęsny los, wiszący nad Polską i postanowili Polskę ocalić. Celem ich było: rzeczpospolitą zamienić na monarchię, a dążyli do tego celu przebojem, nie oglądając się na nic i na nikogo, nie cofając się przed żadną przeszkodą.

Za panowania króla Augusta III. trzymali się dworu królewskiego, ale później, straciwszy oparcie w kraju, weszli w ściślejsze związki z zagranicą: z Anglią, Prusami, a zwłaszcza z Rosyą. Przez swego krewniaka, Stanisława Augusta Poniatowskiego, który pełnił w Petersburgu urząd sekretarza w poselstwie angielskiem i pozostawał w przyjaznych stosunkach z Katarzyną — późniejszą carową — zbliżyli się Czartoryscy do Rosyi.



Adam książe Czartoryski.

Zyskawszy w ten sposób przewagę w kraju, mogli się wziąć do przeprowadzenia swego planu politycznego, który polegał na tem, by z pomocą Rosyi uczynić z Polski państwo rządne i silne. Niestety spotkali się Czartoryscy z przeszkodą, właśnie ze strony Rosyi i Prus.



Łuk tryumfalny w Powązkach pod Warszawą.

Mimo wszystko, przeprowadzili wiele korzystnych zmian dla kraju. Na sejmie konwokacyjnym w 1764 roku, którego marszałkiem został ks. Generał, uchwalono zmianę sposobu sejmowania, reformę sądownictwa, reformę skarbu i wojska i przeprowadzono uchwały, dotyczące miast, ceł i t. p.

Mimo usilnych starań nie mogła „Familia“ osadzić na tronie ks. Generała, gdyż na życzenie mocarstw ościennych siadł na tronie polskim jego brat cioteczny, Stanisław August Poniatwski.

Wiadomo, jakie losy przechodziła Polska pod panowaniem tego króla.

My zaś wracamy do ks. Adama Czartoryskiego, niedoszłego króla polskiego.

Urodzony w 1734 r., a wychowany na lalkę i paniczyka, sobie tylko zawdzięczał, że nie został bezmyślną lalką. Wiele sam się nauczył, w podróżach po różnych krajach nabrał zamiłowania do cywilizacyi europejskiej, do szkół, oświaty, książek i pracy.

Zdolności miał wielkie, znał kilkanaście języków; mówił nawet po turecku i po arabsku. Politykiem i dyplomatą nie był i nie często widzimy go przy pracy politycznej, za to stał się gorliwym opiekunem sztuk i nauk. Sam próbował zawodu literackiego, a w pismach swoich okazał, że zaciekawia go życie umysłowe, obyczajowe, towarzyskie i społeczne.

Wiedział, że potrzeba naprawy w Rzeczypospolitej, ale i on, jak wszyscy Czartoryscy, nie wahał się występować przeciw królowi i w imię swoich przekonań ubezwładniać czynności Rządu. Więc i on przyczynił się do podtrzymania niezdrowej atmosfery w Polsce, właśnie wtedy, kiedy trzeba było jednolitej i zgodnej pracy. Na szczęście do polityki mieszał się mało, Ale będąc w stosunkach z Rosyą, nie uniknął podejrzeń i zarzutów. Chcąc się od nich uwolnić, wyjeżdżał bardzo często z kraju i to nieraz w takiej chwili, kiedy jego pomoc była bardzo potrzebna.

Ożenił się w 1762 roku z bogatą Izabellą Fleminżanką, a po śmierci ojca stał się panem olbrzymich dóbr. Ale nie osiada w Puławach, nie zamyka się na wsi, owszem zrazu bierze żywy udział w ogólnej pracy, która zawrzała po pierwszym rozbiorze kraju.

Należał do komisyi edukacyjnej, marszałkował trybunałowi litewskiemu w Grodnie i odznaczył się niebywałą w Polsce sprawiedliwością. Był też posłem na sejm czteroletni. Z królem Stanisławem Augustem podjął myśl założenia szkoły wojskowej. I rzeczywiście król ją założył, a Czarto-

ryski został jej komendantem i był nim aż do r. 1792.

Zasługi położył tam wielkie, bo dbał o dobrych nauczycieli, o środki naukowe i o wysoki poziom nauk.

Z tej szkoły wyszli tacy ludzie, jak Kościuszko, Wodzicki, Jasiński, Kniaziewicz, Madaliński, Kazim. Sapieha, potem marszałek litewski na wielkim sejmie, Sierakowski, Sokolnicki, Fiszer i inni.

Jak gorliwie opiekował się książę tą szkołą, świadczy i to, że sam ułożył dla niej przepisy, które nazwał „Katechizmem dla uczniów rycerskiej szkoły kadetów w Warszawie.“ Oto główna zasada, którą usiłował wszczepić w każdego ucznia: „Kadet... powinien mieć miłość i bojaźń Boga, przywiązanie do religii, powinien ojczyznę swą kochać i jej dobro nadewszystko i sposobić się do tego, aby się mógł poświęcić na jej usługi...“ — Słowem, był to prawdziwy katechizm, wskazujący wszystkie powinności życiowe dobrego obywatela. Uczniowie musieli się go wyuczyć na pamięć i co soboty powtarzać przed brygadyerem.

W 1809 roku po zajęciu Galicyi, dawni uczniowie szkoły kadeckiej złożyli księciu adres, wierszem, pióra poety K. Koźmiana.

„Książę, tej szkoły młodzieńce,
Którąś Twym szczycił przykładem,
Przynoszą zdobyte wieńce
Nad Ebrem, Nilem i Padem.
Jeśli ich czyny wytrwałe
Powrót ojczyzny ozdobił,
Temu winni odnieść chwałę,
Kto ich do niej usposobił.“

Książę nadawał ton tej szkole, kierował młode umysły i serca honorem, wpajał w kadetów wstręt do wszelkiej zakały, a żądzę sławy i miłość ojczyzny.

Tytuł księcia: „generał ziem podolskich“ nie był tytułem wojskowym, a pochodził stąd, że książę był „generałem“ czyli nadstarostą podolskich ziem.

Po śmierci ojca w r. 1782 opuszcza książę Warszawę i osiada prawie na stałe w Puławach. Tu zaczyna swą pracę cywilizacyjną, łącząc wysokie wykształcenie z niezwykłą dobroczynnością. Ksiądz Woronicz w kazaniu na pogrzebie ks. Generała powiedział o nim, że książę posiadał „nałogowość dobrze czynienia.“

Ludzie, stykający się z nim w Puławach, taki mniej więcej podają wizerunek księcia:

Był to człowiek średniego wrostu, szczupły, nosił perukę pudrowaną i tapirowaną [1]), ubierał się zawsze z francuska lub w mundur austryacki. Mówił mało, wolał słuchać. W Puławach mieszkał na dole, w lewym pawilonie, przytykającym do bogatej biblioteki.

[1]) W lokach.

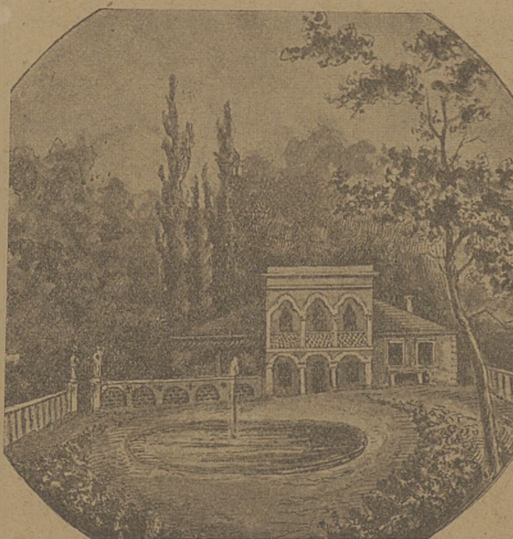


Ruiny w Powązkach pod Warszawą.

Mieszkanie jego składało się z czterech pokoi: w pierwszym siedzieli lokaje i kozacy, w drugim kamerdynerzy, w trzecim odbywało się ubieranie, fryzowanie i pudrowanie peruki, czwarty był pracownią księcia. W niej stało łóżko, wielke biurko i wiele, bardzo wiele książek.

Dwie były rzeczy, których książę nie znosił: filozofii Kanta [2]) i włosów niepudrowanych, a ostrzyżonych krótko, jak to wówczas było w modzie, à la Brutus.“ Głowy — twierdził — można jeszcze „odkantować,“ ale z fryzurą trudniej. Jednak i fryzurze wypowiedział wojnę. Młodzi ludzie, mieszkający na dworze, bali się, jak ognia, kamerdynera książęcego, Baptysty, bo kamerdyner ten i fryzyer zarazem, przywoływał nieraz młodzików do księcia i na jego rozkaz sadzał ich na krześle. Wtedy robiono porządek z fryzurą... Gdy kawaler wychodził od księcia, miał już włosy ufryzowane i obsypane pudrem.

[2]) Kant, słynny filozof niemiecki.



Pałęcy wk Powązkach pod Warszawą.

Ks. generał posiadał dobra i w Galicyi, pod panowaniem austryackiem. Z domem Habsburskim łączyły go też częste i blizkie stosunki. Cesarz Józef II. mianował go komendantem gwardyi galicyjskiej, potem marszałkiem polnym i właścicielem pułku liniowego. Chciał go też pozyskać na agenta dyplomatycznego przeciw Prusom, ale książę wymówił się od tego. Jeszcze większe zbliżenie do dworu austryackiego nastąpiło z chwilą, kiedy córka ks. Generała, Marya, wyszła za księcia Wirtemberskiego. Odtąd cesarze austryaccy nazywają ks. Generała „kuzynem.“

Dobre te stosunki przetrwały przez czas panowania Józefa II., Leopolda II. i Franciszka I., który zamianował ks. Generała nawet „kawalerem złotego Runa“ i magnatem korony św. Szczepana.

Kiedy ks. Generał po Targowicy i po trzecim rozbiorze znalazł się w nadzwyczajnych kłopotach pieniężnych, a długi jego dochodziły do 12 milionów zł., cesarz z prywatnej swej szkatuły pożyczył mu milion reńskich.

W sejmie czteroletnim — jak wspomniano — brał ks. Generał udział jako poseł lubelski i należał do stronnictwa reform; do Targowicy nie przystąpił i wyjechał za granicę. Za to Puławy zniszczono w r. 1794.

W 1812 r. starzec wraca jeszcze raz do życia politycznego i zasiada za księstwa Warszawskiego na krześle marszałkowskiem. Umarł w Sieniawie, w Galicyi w 1823 r.

Żona księcia, Izabella, córka Jerzego Fleminga, podskarbiego wielkiego litewskiego, urodziła się w r. 1746 i — dziwna rzecz — podobnie, jak książę, w dzieciństwie nie zapowiadała wcale dzielnej i mądrej kobiety.

Wychowanie otrzymała tak zaniedbane, że po prostu nic nie umiała. W szesnastym roku życia wyszła za księcia generała, nie z popędu serca, tylko posłuszeństwa dla babki. Nieraz biedaczka wstydzi się swego nieuctwa, dlatego nawet ust nie otwiera w towarzystwie, bojąc się narazić na śmieszność. Ale bierze się do nauki i przy ogromnej pamięci zdobywa mnóstwo wiadomości, tak że z czasem staje się jedną z najoświeceńszych Polek.

Życie jej dzieli się na dwa okresy: w pierwszym, księżna namiętnie oddaje się zabawom światowym. Miała sławę wesołej, towarzyskiej i zalotnej kobiety. Była trochę złośliwa w roz-

mowie, ale lubiano ją, bo miała dobre serce i podbijała wszystkich urodą i doskonałem ułożeniem.

A trzeba pamiętać o tem, jakie to były czasy, na które przypada młodość księżny. Było to po pierwszym rozbiorze i, dziwna rzecz, zamiast ciszy grobowej, której możnaby się spodziewać po takiem nieszczęściu, zawrzało właśnie najgwarniejsze życie w sercu Polski, w Warszawie. Bale, tańce, zabawy, pijatyki odbywały się co wieczór, jak miasto długie i szerokie. Na przyjęciach u dygnitarzy przesuwało się z rąk do rąk złoto, wygrywane lub przegrywane w karty. Ubiór polski poszedł w kąt, na jego miejsce weszły fraki różnobarwne; na głowach kobiet i mężczyzn widzimy peruki.

I język polski wypędzono ze salonów, za to wszędzie dźwięczy francuszczyzną. Kobiety stroją się niesłychanie, albo pląsają po salonach napół nagie, naśladując starożytne, greckie boginie. Bo taka moda nastała wówczas: obok francuszczyzny naśladować greckie wzory.

Lecz na szczęście — można powiedzieć — te objawy wesołości, zepsucia, wprost szaleństwa były dosyć powierzchowne, bo pod niemi kryły się myśli poważne i głębsze. Nowa moda, nowe stroje, nowy język, nowe myśli odświeżyły polskie głowy i przestano wreszcie wierzyć, że to tylko dobre, co było dawniej, że nie trzeba nic w Polsce naprawiać. I rzeczywiście wzięto się do pracy, a wyniki tej pracy miały się wnet okazać w konstytucyi majowej.

Widocznie nie były te czasy tak złe, a ludzie tak nikczemni, jeśli stworzyć potrafili tak piękne dzieło.

Moda ówczesna przyniosła dużo śmieszności. Naprzykład kobiety uroiły sobie, że muszą być tkliwe i sentymentalne. Sentymentalizm czyli czułostkowość było to pieszczenie się z własnem uczuciem. Kto swoje uczucie podziwia, ten z pewnością nie jest szczery. I rzeczywiście: uczucia te były sztuczne, udawane. I łzy były udawane i cierpienia urojone i smutek nieszczery.

Ba, kobietom zdawało się, że nawet ubraniem można okazywać sentymentalność:

„...tak jest, każda część ubioru
Co do kształtu, upięcia, kroju i koloru,
Za prawidłem w najświeższej modzie dziś przyjętem,
Powinna tchnąć i razić pewnym sentymentem..."

Perły wyrażały nastrój religijny, odpowiednia fryzura czyniła wrażenie żalu, płaczu, troski i smutku; były nawet pończochy... rzewne i trzewiki... cnotliwe.

„Ten ubiór zdolen zmiękczyć i najtwardsze głazy!
Wreszcie, zatknąwszy różę w gorset półowalny:
Otóż to — rzecze — cały strój sentymentalny!"

Śmieszni bywają ludzie!

Ale nie koniec na tem. Powiedzieli sobie ludziska, że trzeba zbliżyć się do natury. Myślałby kto, że zaczną kochać wieś, chodzić na przechadzki, kąpać się w rzekach, bawić się na dworze... gdzie tam! Wszystko to robili, ale wszystko na opak. Mieszkali na wsi, ale po to, aby znowu rozczulać się nad naturą, nad drzewkami, trawkami, kamyczkami. Ubierali się, jak pasterze w starożytnej Grecyi, paśli barany, gąski, umizgali się do siebie, wzdychali nad sobą, rozczulali się nad gąskami i owieczkami. Słowem, zaczęli się bawić w sentymentalne sielanki. Zdawało im się, że tak żyje lud na wsi, że pasterze robią takie głupstwa, jak oni. Uroili sobie, że największą rozkoszą jest zamieszkać gdzieś na odludziu, nad strumykiem, słuchać pieśni słowiczych, żywić się mlekiem, owocami, pić łzy i wzdychać.

Księżna Izabella była także modną panią, a więc i ona zamieszkała pałac w Powązkach pod Warszawą i posiadłość tę urządziła na modny sposób. Wśród kwiatów i krzewów kazała pobudować chatki z drzewa, słomą kryte, ale wewnątrz urządziła je z przepychem. Kazała robić sztuczne groty i ruiny, zapraszała do nich gości, przebranych za boginie, pasterzy i pasterki i bawiła się tak, jak wogóle wówczas wszędzie: w sielanki.



Altana chińska w Parku w Puławach.



„Głęboka droga" w Parku w Puławach.

Ale nie długo trwało to miłe, lecz bezmyślne życie. Wnet porzuca księżna Warszawę i Powązki, osiada w Puławach i bardzo, a bardzo się zmienia.

Co grom spadnie na Polskę, to księżna bardziej poważnieje. Miłość ojczyzny wzrasta u niej i powoli przechodzi w głębokie uczucie patryotyczne.

Księżna zawsze lubiła naturę, teraz zbliża się do niej i poznaje prawdziwe jej wdzięki; miłość natury zbliża ją do tych, którzy wciąż z naturą obcują: do ludu wiejskiego. Powoli poznaje wszystkich chłopów z Puław i okolicy i wnet staje się ich opiekunką.

Wesołość jej została, pozostało i zamiłowanie do zabaw, zwłaszcza do teatru i tak zwanych „fet," to jest obrazów z żywych osób. Ale te zabawy, miały głębszą myśl i prawie zawsze były patryotyczne.

Oprócz tego księżna zaczyna gospodarować w Puławach i niemal co roku zaprowadza tam coś nowego. To otwiera dwa teatry: jeden na kępie, na dworze, drugi zimowy w pałacu, nad swojem mieszkaniem, to skupuje książki i dzieła sztuki, to zdobi ogród i zakłada park prześliczny, to zbiera pamiątki z dawnych czasów i buduje muzea.

Puławy pięknieją, salony ozdabiają się obrazami znakomitych mistrzów, goście wciąż napływają, życie wre coraz silniej, a coraz piękniejsze to życie, bo poważniejsze. Atmosfera w Puławach się oczyszcza i coraz więcej widzimy tu rzeczy, które podnoszą ducha i każą myśleć o tem, co sercu najdroższe.

A nie zapomnijmy, że to , co sercu najmilsze, ojczyzna, już upadła i strasz-

ne przygnębienie przygniotło naród. Zdawało się, że na duszę i na świat spadła ciemność jakaś... aż w tej ciemności zaczęły jaśnieć Puławy.

Mówiąc o rodzinie Czartoryskich, koniecznie trzeba wspomnieć o dzielnej pomocnicy ks. Izabelli, o jej średniej córce, Maryi. Miała księżna starszą córkę, Teresę, ale ta w młodym wieku zginęła straszną śmiercią, bo spaliła się żywcem. Pozostały więc przy życiu dwie córki: Marya i Zofia.

Marya, jako mała dziewczynka, mieszkając jeszcze w Powiązkach, nieraz bawiła się z dziatwą wiejską. Wtedy to ułożyła piosenkę, którą dzieci te chórem śpiewały:

„Gdy się zorza pokazuje,
Każda z chaty wyskakuje,
Bo tam każda z nas wesoła.
Jedna na drugą tak woła: Hej! hej!
Jak się wszystkie pozbierają,
To sobie sny wykładają,
O śniadaniu wspominają,
A pod lipą go zjadają. Hej! hej!
Aż nadejdzie ta godzina,
W której nam czyta Maryna;
I w południe, choć gorąco,
Krzyczy, woła na Marcina: Hej! hej!
Czemu osła jeszcze niema?!
Ten to osioł, co z koszami
Przychodzi nam z obiadami. Hej! hej!“

Bo rzeczywiście służący Marcin przywoził na ośle obiad z dworu dla małej rzeszy.

Marya, urodzona jeszcze w 1768 r., wychowała się w znanej już nam atmosferze czułych piosenek, sielanek, pasterskich teatrów, wśród objawów sentymentalności i ustawicznych balów i uroczystości rodzinnych. Ale wychowanie otrzymała staranne: od matki, guwernantki panny Petit[3]), od Koblańskiego i poety Kniaźnina.

Ale nie długo trwało to błogie i spokojne dzieciństwo. Biedna księżniczka stała się ofiarą dyplomacyi politycznej. Oto dla wzmocnienia przymierza pruskiego w 17 roku życia wydano ją za Ludwika ks. Wirtemberg-Montbeliard[4]), ubogiego siostrzeńca Fryderyka II.

Pożycie z mężem hulaką, karciarzem, brutalem, który potrafił żonę ciągnąć za włosy z łóżka, było pasmem niedoli. Ks. Wirtemberski dostał szlachectwo polskie i został jenerałem dywizyi polskiego wojska. Ale mimo wszystko w 1792 r. zdradza swoją przybraną ojczyznę, bo znosi się potajemnie z rządem rosyjskim. Wtedy dopiero postarano się o rozwód dla księżniczki Maryi. Syna Adama musiała matka zostawić ojcu, który sześcioletniego chłopca wywiózł do Berlina.

[3]) Czytaj: Pti.
[4]) Mąbeliar.

Pozostaje także wspomnieć o najmłodszej córce księstwa, Zofii. „Matki mało się wówczas zajmowały dziećmi, które mieszkały daleko, całkowicie powierzane bonom i guwernantkom i tak było we wszystkich krajach — pisze Zofia we swoich wspomnieniach. — Moja matka, jak mi mówiono, była pierwsza w Polsce, co się otaczała dziećmi. Widziano ją często przechadzającą się z niemi i w ich gronie spędzającą znaczną część dnia.“

A więc i księżniczka Zofia otrzymała takie samo staranne wychowanie, jak inne dzieci. W 19 roku życia wyszła za Stanisława Zamojskiego. Zacna to była kobieta. Oto co pisze jeden ze współczesnych autorów o ks. Zofii i o jej matce, Izabelli: „Los włościan wzbudzał w sercach matki i córki najtkliwsze uczucia, prawdziwie ludzkie i prawdziwie polskie; obie mniemały, że polepszenie bytu włościan ściśle jest związane z dobrem kraju. Zofia Zamojska lubiła mieszkać na wsi, gdzie zawsze można ją było zastać, jak zajmowała się ozdobieniem chat włościańskich, zaaklimatyzowaniem owoców, drzew i roślin, w kraju nieznanych.“

Miała ona jeden nieoceniony przymiot: była jednakowa wszędzie i w stołecznem towarzystwie i we własnej rodzinie i wobec monarchów i w chacie chłopskiej; zawsze miała pogodny i równy humor i zawsze wyjątkową dobroć dla wszystkich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Dr. Stanisław Łabendziński.

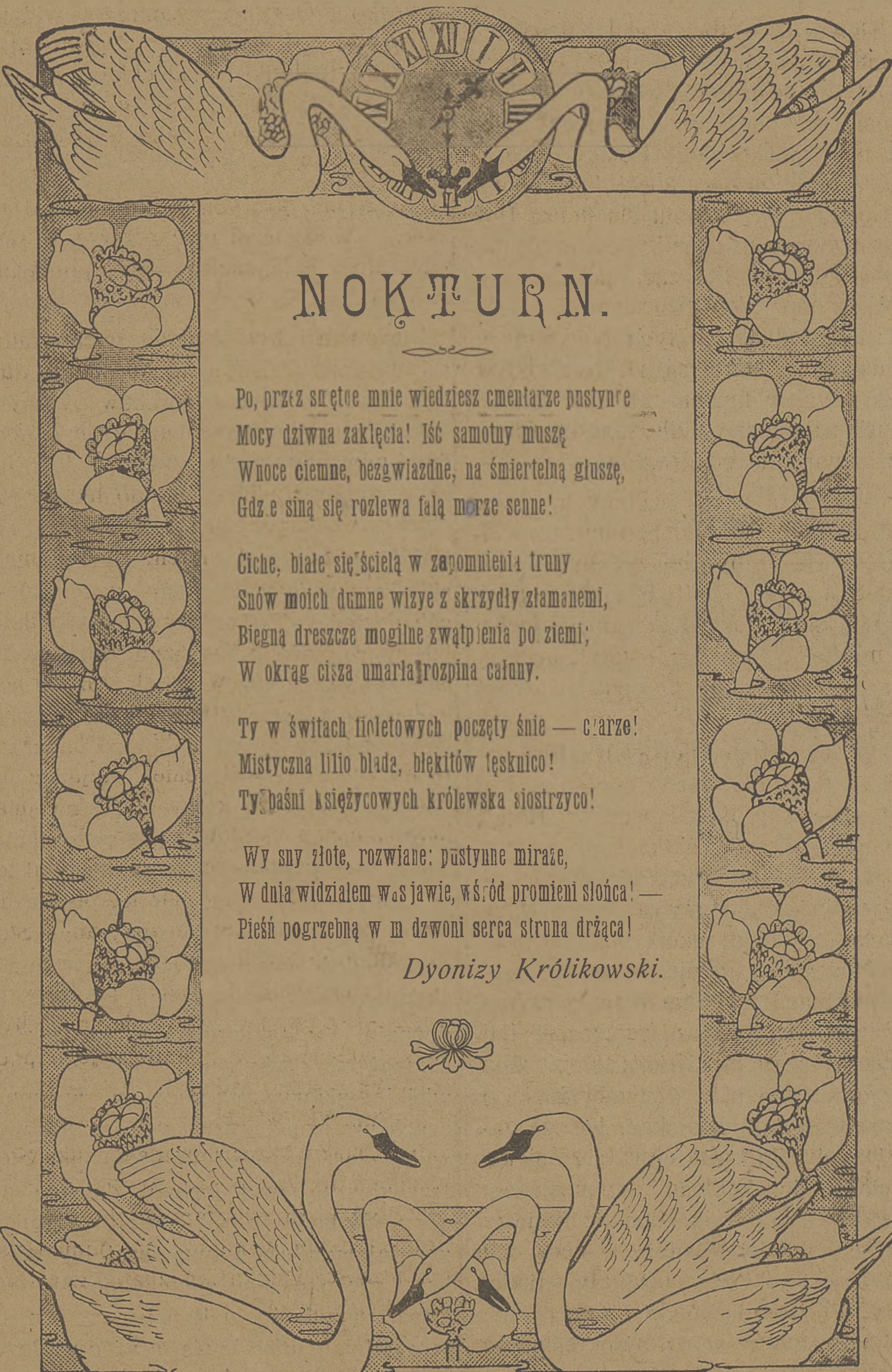
Wykłady popularne.

II. B.

Jakie są dzieje naszej ziemi?

Pytaniem, jak starą jest ziemia, zajmowali się ludzie uczeni już oddawna wprawdzie, lecz dopiero w najnowszych czasach rozkwitu nauk przyrodniczych bystrzy spostrzegacze zdołali odkryć sposoby, wedle których można jakiego takiego nabrać wyobrażenia o wieku naszej kuli ziemskiej. Jedyne dawniejsze źródło, na którem się opierano, biblia, nic nam pod tym względem nie mówi, gdyż wnika ona jedynie w zmierzchłe dzieje ludów, o powstaniu ziemi samej zaś tylko tyle wypowiada, że Pan Bóg stworzył świat w 6 dniach czyli raczej okresach o nieokreślonym przeciągu czasu. Nie poprzestając więc na tak ogólnikowem określeniu, pytamy się, zważywszy ciągłe przemiany na powierzchni kuli ziemskiej, spowodowane już w historycznych czasach bądź to katastrofami wywołanemi przez wybuchy wulkaniczne, bądź to przez wystąpienie wód morskich i zalanie całych obszarów stałego lądu, czy nie ma jakich danych, których by się można uczepić dla określenia dziejów naszej ziemi? Otóż takich danych odkryli bystrzy badacze z biegiem wieków wiele i naukę, która się powstawaniem obecnej powierzchni kuli ziemskiej zajmuje, nazywamy geologią, ziemioznawstwem lub nauką o dziejach ziemi. Ta historya ziemi jest bardzo ciekawa i wyniki, do których uczeni po długich i mozolnych badaniach w tym kierunku doszli, szczególnie w ostatniem (ubiegłem) stuleciu, zasługują zupełnie na to, aby się z nimi bliżej zapoznać. Każdy z nas, ktokolwiek był w górach, np. Tatrach lub Alpach, spostrzegł, że góry te składają się z kamienia różnego rodzaju, np. granitu, gnejsu, piaskowca, wapienia, dolomitu i wielu, wielu innych. Przy bliższem nieco badaniu takiego wapienia spostrzegamy muszle skamieniałe, różnej postaci i wielkości, których pobytu w kamieniu na pierwszy rzut oka wytłómaczyć sobie nie możemy. Długo też uczeni nie wiedzieli, skąd się te muszle tam wzięły, aż w końcu 18-go wieku wypowiedziano śmiałe, lecz dobrze rozważone i licznemi niezbitemi dowodami poparte przypuszczenie, że muszle te mogą być tylko pozostałościami po dawnych zwierzętach morskich, których organizm w przeciągu czasu przemienił się chemicznie w kamień, i w ten sposób postać zewnętrzna zwierząt tych i ich skorup aż do naszych dochowała się czasów. Zwierzęta te jak i dziś jeszcze różne muszle, ślimaki i ryby żyły we wodzie, w morzu, po śmierci opadały na dno, tam mułem przysypane zostały i w miarę, jak przez butwienie czyli gnicie traciły substancyę organiczną, przemieniały się po mału w kamień (krzemień lub wapień przeważnie), jakiej to przemiany i w naszych prawie oczach dość często u nas napotykane skamieniałe drzewa w ziemi lub wodzie doznają. Aby takie skamieniałe muszle, ślimaki lub ryby napotkać, których wielkie zbiory przechowują w muzeach przyrodniczych (w Poznaniu np. w Muzeum Im. Mielżyńskich) nie potrzebujemy nawet jechać daleko w góry. W każdym pokładzie wapienia, znajdującym się w mniejszej lub większej głębokości w ziemi, możemy je łatwo napotkać, najłatwiej wszędzie tam, gdzie wapno kopią, a więc w Poznańskiem w Piechcinie i Krotoszynie

pod Barcinem i w Wapnie pod Kcynią, a na Śląsku Górnym w Gogolinie i Gorazdzinie. Pytanie się teraz tylko nasuwa, skąd muszle te, osiadłe bez wątpienia w wodzie, dostały się do lądu, a nawet na taką wysokość, że aż na szczytach gór napotkać je można? Otóż musimy koniecznie przypuścić, że tam, gdzie teraz są lądy, dawniej mogło być morze i przeciwnie, i że zmiany takie z biegiem ogromnych, dla nas wprost nieokreślonych przestrzeni czasu ciągle się powtarzają. Pokłady więc morskie, przeważnie wapienne i piaskowcowe, z biegiem czasu zostały wydźwignięte ponad powierzchnię ziemi i stały się lądem, bądź to zapomocą sił wulkanicznych i związanego z niemi trzęsienia ziemi, lub przez proste zapadanie się lądów w innych stronach kuli ziemskiej, i odpływ wód morskich w te niżej położone strony. Na mocy gruntownych i mozolnych badań rodzajów zwierząt, w pokładach różnej głębokości i różnych okolic dziś lądu stałego a dawniej morzem pokrytego napotykanych, zdołała geologia określić względny wiek pojedyńczych warstw t. zw. formacye, opierając się na ciekawem spostrzeżeniu, że im głębsze a więc starsze badamy pokłady, tem mniej rozwinięte napotykamy istoty. O wieku tych pokładów naturalnie należytego wyobrażenia nauka dać nam nie może, i nigdy zapewne do tego nie dojdzie, może tylko tyle napewno twierdzić, że dla utworzenia każdej formacyi było potrzeba mnóstwa milionów lat, oraz i to, że z kilku warstw jedną można bezwątpienia jako starszą określić, jak drugą. Dzieje ziemi dzielą geolodzy więc w najobszerniejszym zarysie na 5 wielkich okresów. Pierwszy pierwotny czyli archaiczny, potem paleozoiczny z formacyami: kambryjską, sylurską, dewońską, węglową i permską. Trzeci okres zawiera formacye: tryasową, jurajską i kredową, a czwarty: eoceńską, mioceńską i plioceńską — a ostatni nareszcie składa się z napływowej dawnej (dyluwium) i napływowei nowei (aluwium), która to ostatnia formacya i dziś jeszcze trwa. Aby dać jakie takie wyobrażenie o ogromie czasu, jakimi geolodzy dla wytłomaczenia wyników swych badań operują, przytoczymy następujący szczegół. W dyluwium (a więc formacyi poprzedzającej bezpośrednio naszą obecną) klimat na północnej półkuli (tak w Europie jak i Ameryce) był do tego stopnia niższy od obecnego, że lodowce do 2000 metrów miąższości pokrywały nasze niziny. Aby zrozumieć pracę wykonaną przez wodospad Niagara, przedstawiający też tylko ślad po lodowcach ówczesnych, trzeba przyjąć około 100 milionów lat. Tyle więc czasu upłynęło od ostatniej formacyi dyluwialnej.



NOKTURN.

Po, przez smętne mnie wiedziesz cmentarze pustynne
Mocy dziwna zaklęcia! Iść samotny muszę
Wnoce ciemne, bezgwiazdne, na śmiertelną głuszę,
Gdzie siną się rozlewa falą morze senne!

Ciche, białe się ścielą w zapomnienia truny
Snów moich dumne wizye z skrzydły złamanemi,
Biegną dreszcze mogilne zwątpienia po ziemi;
W okrąg cisza umarła rozpina całuny.

Ty w świtach fioletowych poczęty śnie — czarze!
Mistyczna lilio blada, błękitów tęsknico!
Ty baśni księżycowych królewska siostrzyco!

Wy sny złote, rozwiane: pustynne miraże,
W dnia widziałem was jawie, wśród promieni słońca! —
Pieśń pogrzebną w m dzwoni serca struna drżąca!

Dyonizy Królikowski.



Ks. Teofil Gapczyński.

O Juliuszu Słowackim.

(Ciąg dalszy).

Ale nadszedł czas, gdzie poeta musiał opuścić ziemię wołyńską, która natchnęła go do tego pięknego utworu narodowego, gdzie musiał porzucić Krzemieniec — na zawsze.

Wrócił do Warszawy, gdzie niedługo bawił. Nastała pamiętna noc listopadowa. Młodzież polska dała hasło do powstania przeciwko niesprawiedliwym rządom moskiewskim. Słowacki jednak nie brał czynnego udziału w powstaniu. Dlaczego? Czy dla braku patryotyzmu? O z pewnością, że nie! Rozmaici rozmaicie tłomaczą Słowackiego. Może być, że brak zdrowia w pewnej mierze powstrzymał go od powstania, bo już wtenczas trawiły go suchoty po ojcu odziedziczone. Przypuszczam jednak, że inne, wyższe względy go spowodowały, że nie schwycił za oręż i później za granicę wyjechał.

Czuł on w sobie to wielkie powołanie do poezyi, czuł w sobie tego wielkiego ducha, którego Bóg wlał w duszę jego, był świadom olbrzymiej swojej zdolności i swego geniuszu — i przyszedł z pewnością do przekonania, że więcej może zdziałać dla ojczyzny zdala od surmy wojennej, mocą

swej poezyi, niżliby wątłe swe zdrowie molochowi poświęcił wojennemu. I dobrze tak się stało. Opatrzność widocznie jeszcze nie żądała jego życia na ofiarę dla ojczyzny — chciała raczej zachować go dla Polski jako poetę, który miał chlubę przynieść narodowi.

A chociaż nie brał czynnego udziału w powstaniu, potęgą poezyi zachęcał ziomków swoich do walki z Moskalami.

Najpiękniejszym wierszem z tych czasów jest Hymn do Matki Boskiej, w którym wypowiada radość, że dla Polski zbliża się chwila odzyskania wolności i prosi Matkę Boską, by zaniosła przed tron Boga modlitwę narodu Polskiego o wolność. Oto początek tego hymnu:

„Boga Rodz.co! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,
Wolności błyszczy zorza
Wolności bije dzwon
Wolności rośnie krzew,
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Napomina też w tej pieśni Polaków, by we własne ufali siły, wtedy może przyjdzie czas, gdzie

„Będziemy żyć we własnej ziemi
I we własnych spać mogiłach“.

Bądźcobądź, wyjechał Słowack 8-go marca 1831 r. z Warszawy przez Wrocław do Drezna, skąd w misyi narodowej wysłany został do Londynu. Miasto to wielkie na nim zrobiło wrażenie.

Ze wszystkich jednak osobliwości godnych widzenia, najgłębiej w duszy i pamięci poety wyryło się londyńskie opactwo Westminster, w którem Anglia grzebie swoich wielkich ludzi. O! z pewnością pomyślał wtenczas o polskim Westminsterze, o Wawelu, on, który marzył o sławie, pragnął jej choć po śmierci, nieprzeczuwając, że i jego prochy wdzięczna ojczyzna złoży nie tylko do grobu zasłużonych, ale do grobów królów!

Wrażenia i uczucia, jakich doznał Słowacki, odwiedzając Westminsterskie opactwo, uwiecznił we wstępie, do Jana Bieleckiego, gdzie czytamy między innemi:

Oto mury Westminsteru,
Tam izba Parów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych, z uczuciem przestrachu,
Bo ja sam byłem, jak umarły w gmachu,
A oni żyli. . .

Z Londynu udał się Słowacki 9-go września tegoż roku (1831.) do Paryża, nie w tym zamiarze, by używać rozkoszy, lecz dla łatwości, z jaką tu można dostać książek, dla atmosfery literackiej, dla teatru, no i jak sam powiada „dla dogodzenia potrzebie cichego życia,“ którego był spragniony. Poznawszy Londyn, chciał poznać i Paryż, o którym jako dziecko od matki w Krzemieńcu słyszał cuda. Wrażenie jednak, jakie zrobił na nim Paryż, nie było osobliwe. Nie podobali mu się Francuzi — nie podobali mu się Polacy-emigranci, których się tu cała utworzyła kolonia. Po nieudanem bowiem powstaniu wielu Polaków opuściło wówczas dobrowolnie ojczyznę, niechcąc się narażać na więzienie lub śmierć ze strony Moskali; wszyscy ci wychodźcy spieszyli głównie do Francyi, do Paryża.

Słowacki, który nad wszystko przenosił spokój i ciszę, nie był rad, że się odrazu znalazł we wrzawie emigracyjnej. Bo choć byli pomiędzy emigrantami najsławniejsi Polacy, wodzowie, pisarze, uczeni, poeci, którzy pracowali tu na wygnaniu dla dobra Polski — było wśród emigracyi wiele nie zgody i kłótni. Patrząc, jak się sam wyraża, na „głupstwa“ swoich ziomków, słysząc o ciągłych pojedynkach między nimi, starał się nie być blisko „tego koła, w którem tak kule latają.“ To też najchętniej byłby opuścił Paryż i burzliwe koło emigrantów.

„Wielu tu mam znajomych, pisał stąd do matki, ale żadnego miłego, żadnego, z którymby mi żyć było przyjemnie; to też chciałbym jaknajprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch.“ Został jednak na razie w Paryżu, by tu zaznać zawodu i rozgoryczenia.

Do chwil pogodniejszych, które zaznał na początku swego pobytu w Paryżu, należą te, które spędził w Hotelu Lambert, na poniedziałkach, jakie księżna Czartoryska urządzała dla partyi arystokratycznej. Bywał tu Słowacki wbrew swemu przekonaniu, bo przekonań był demokratycznych; chodziło mu li tylko o zapoznanie się z najwybitniejszemi postaciami ówczesnej arystokracyi polskiej i francuskiej. Chodziło mu o życie w wielkoświatowych salonach — tam był w swoim żywiole, on, który się sam chwalił ze swego „pańsko eleganckiego wychowania.“ A znał savoir—vivre, znał się na przepisach wielkoświatowej etykiety. A więcej go jeszcze pociągały hołdy, które odbierał w Hotelu Lambert. Bywanie to jednak w salonie, gdzie się zbierała partya arystokratyczna, za złe bardzo mu brali demokraci, którzy go za swego uważali. I odczuł boleśnie na sobie to, co pisał w Beniowskim:

„ jak jest niebezpiecznie
Z demokratami nie być dosyć grzecznie“.

Podczas półtorarocznego pobytu w Paryżu nie zaznał Słowacki wiele szczęścia. Najradośniejsza przez cały czas była chwila, kiedy 10-go kwietnia wyszły w dwóch tomikach jego poezye. Gdy mu przyniesiono pierwszy egzemplarz z drukarni, napisał Słowacki w swym dzienniku: „Otóż to koniec życia dawnego Julka Słowackiego.“ Nie posiadał się z radości. Zdawało mu się, że już wszystkie zapory, oddzielające go od „sławy“ pękły, że od tej chwili nie będzie już „dawnym Julkiem Słowackim,“ ale sławnym Juliuszem Słowackim. Cieszył się jak dziecko. Oczyma wyobraźni widział te tomiki w Krzemieńcu, w ręku matki, w ręku Ludwiki Śniadeckiej, w ręku babuni i dziadunia, którzy, w swoim pokoju, przy oknie, oboje w okularach czytają jego poezye.

Znajomi, których tylko spotkał na ulicy, winszowali mu szczerze i serdecznie, byli zachwyceni poezyami Słowackiego.

Słowacki był olśniony pochwałami, przesycony szczęściem. Ale nie na długo. Miał współzawodników zazdrosnych, którzy, musząc uznać jego poezye jako niepospolite, wybitne, jego język niebywały blaskiem do tęczowych farb podobny, bali się, aby nie wybił się orlim lotem ponad nich, by ich nie przerósł. Dla tego postanowili go powstrzymać w zapędzie, zdusić w samym zawiązku. Najskuteczniejszą zaś bronią w takich razach jest milczenie. Bo krytyka choćby najostrzejsza i najniesprawiedliwsza budzi interesowanie — milczenie zabja. Gdy Ludwik Nabielak, który pochlebne miał zdanie o poezyi Słowackiego, chciał napisać o niej recenzyę, odwiódł go od tego zamiaru Bohdan Zaleski, pisząc do niego złośliwie: „Nie *warto*, abyś Słowackiego umieścił w swojej rozprawie“. Jest to istny indyk: puszy się i puszy, lecz ani śpiewać ani latać nie umie. Biedny mierzyna! wszystko w jego poezyach i cudze i ladaco!“ A takich, jak Zaleski, było więcej.

Z biciem serca daremnie szuka Słowacki wzmianek o sobie w dziennikach. Żadne z pism emigracyjnych o tych tomikach ani wzmianki nie pomieściło. O małości ludzka! możnaby zawołać, jakaś ty wielka!

Takiego doznał Słowacki zawodu w swoim poetycznym zawodzie!

W takich warunkach przyszły święta wielkanocne, pierwsze, które poeta spędził na obczyźnie. Na szczęście spędził je wśród swoich, w atmosferze polskiej, bo został przez księżnę Czartoryską zaproszony na Święcone. Bardzo melancholijnie nastroił go ten ranek pierwszego dnia Wielkiejnocy, spędzony wśród tego „pięknego świata", począwszy od chwili, kiedy ks. Praniewicz, w zwykłej sutannie polskiego proboszcza święcił stół, uginający się pod mnóstwem potraw, aż do chwili, kiedy wracał do domu, w niepewności, gdzie będzie na przyszły rok o tej porze, i kiedy siedząc wieczorem samotny w domu rozmyślał o świętach tych spędzonych jako dziecko w domu w kochanym Krzemieńcu. Bo nic go tak nie rozmarzało, jak wspomnienie dzieciństwa, które w całem znaczeniu słów było sielskie i anielskie.

Druga połowa roku (1832) pobytu w Paryżu miała być obfitszą w wypadki, aniżeli pierwsza, ale i gorsza zarazem, burzliwsza, nierównie przykrzejsza, a pod wieloma względami boleśniejsza, mogąca zniechęcić do życia, do ludzi, ba, do samej poezyi nawet.

Wśród „zawodu" swego w poezyi jedyna go pocieszała myśl, że przynajmniej matka, przedewszystkiem matka pozna się na jego poezyi. Ale i z tej strony doznał przykrego rozczarowania. Przyszły nań chwile rozgoryczenia, niezadowolenia ze siebie, chwile, w których zaczął wątpić o sobie. Pisał wtenczas w swoich pamiętnikach: „Nie, ja skazany jestem żyć bez uczuć, skazany, abym prze całe życie czekał sławy, która może przyjdzie pierwszego dnia mojej śmierci!" — biedny, jakby zapomniał o swej modlitwie dziecięcej, w której modlił się o najnędzniejsze życie, byle niem sobie zarobił „nieśmiertelną sławę po śmierci".

W lipcu tegoż roku przyjechał do Paryża największy, najpotężniejszy rywal Słowackiego: Adam Mickiewicz, którego postępowanie wobec Słowackiego nie było zawsze bez nagany, co więcej nieraz niegodne Mickiewicza!

Słowacki dowiedziawszy się o przyjeździe Mickiewicza, tak pisał w swym pamiętniku: „Mickiewicz przyjechał do Paryża, ale nie pójdę pierwszy do niego. Jeżeli się chce zapoznać zemną, to dobrze." Nie chciał iść jak wasal do imperatora, bo czuł mu się równym!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Piękna i miła rzecz, kiedy kto lęże
Za swą ojczyznę; pieskliwe zaś męże
Śmierć w tropy goni, nie przebacza młodzi
Lękliwej, z tyłu rażąc, gdy uchodzi.

Krwawy dramat.

W Krakowie toczy się sensacyjna sprawa Janiny Borowskiej, oskarżonej o zamordowanie adwokata Lewickiego. Krwawy ten dramat, epilog którego nastąpi wkrótce, miał następujący przebieg:

Genezą stosunku Lewickiego z Borowską jest proces Borowskiej, przeciwko redaktorowi „Naprzodu", w którym, jak wiadomo, Lewicki występował w charakterze jej obrońcy. Przedtem nie znali się oni osobiście.



Janina Borowska.

Proces ten wymagał częstych i długich konferencyj, drobiazgowych informacyj. Wskutek tego wywiązał się stosunek bliższy i Lewicki poddał się wpływowi Borowskiej. Jednakże we wrześniu w r. 1908 nastąpiło naprężenie stosunków. Oddziałała tu niewątpliwie bezskuteczna interwencya Borowskiej i L. Szczepańskiego, redaktora „Nowin", który zarzucił Lewickiemu czyny, czci jego uwłaczające. W każdym razie u Lewickiego objawia się wówczas zobojętnienie, a u Borowskiej wyczerpanie, przejawiające się w jej listach. Że stosunek Borowskiej do Lewickiego dolegał jej, świadczy w szczególności list z 29 września, w którym błaga męża, by wystarał się o pieniądze dla Lewickiego, gdyż nadewszystko chciałaby uwolnić się ze wszelkich zobowiązań finansowych. Błaga go też o radę i chce wycofać swoją sprawę twierdząc, że nie jest ona w dobrych rękach. Na list ten Maryan Borowski przybył do Krakowa i nastąpiło pojednanie małżonków. Stosunek ich do Lewickiego miał zostać niezmieniony na razie przez wzgląd na wynik procesu. Obrachunek osobisty z Lewickim odłożono do ukończenia procesu sądowego. Przez obrachunek rozumiano zastrzelenie Lewickiego w pojedynku lub i bez pojedynku, gdyby Lewicki nie stanął.



† Dr. Włodzimierz Lewicki.

Tymczasem, wbrew pierwotnym postanowieniom, Borowska nie wyjechała do męża. Powodem był zwrot ku przeszłości i wrażeniom, których pamięć w niej pozostała, a o co niezawodnie starał się Lewicki. Być może, że Lewicki obawiał się także powikłań z ujawnienia stosunku swego z Borowską wobec jej męża.

Wreszcie w październiku 1908 r. Borowska wyjechała do Lwowa, gdzie przebywała do końca lutego 1909 r. Oboje wymieniali listy dość często. W lutym 1909 r. zbiegają się — może za staraniem Lewickiego — obie sprawy i proces Haeckera, i podjęcie przed sądem Ligi ku obronie czci afery między Lewickim a Szczepańskim. Szczepański domagał się, aby zbadano epizod jesiennej interwencyi Borowskiej. Na to ona ułożyła deklaracyę, w której stwierdza, że sama z własnej woli interweniowała u Szczepańskiego. Deklaracya ta, w której Borowska wyraża niezwykłe uznanie Lewickiemu, jest prawdopodobnie fabrykatem.

Przed procesem z Haeckerem Borowska przyjechała na parę dni do Krakowa; spotkanie jej z Lewickim było nader przyjazne. Ale przebiegiem rozprawy uczuła się Borowska rozczarowaną i rozgorączkowaną. Zarzucała Lewickiemu, że ją opuścił podstępnie i pozostawił własnej obronie wobec najdrażliwszych zarzutów, że przez rozmyślną bierność dopuścił do roztrząsania spraw i szczegółów drastycznych z jej przeszłości. Pod koniec rozprawy zaczęła Borowska wprost obawiać się, że Lewicki w ostatecznem przemówieniu zdradzi sprawę samą i pod tą obawą miała z nim w ostatnim momencie tuż przed wywodami stron krótką rozmowę na osobności. Treść tej rozmowy nie jest znana. Mężowi powiedziała o niej, że było przeproszenie Lewickiego za nieufność, jaką w toku rozprawy mu okazywała.

Stosunki z Lewickim Borowska utrzymywała nadal. Nawet na jednym z listów, pisanych przez Borowską, znajduje się podpis ręką dra Borowskiego: Maryanowie Borowscy. Listy

naogół pisane były półoficyalnie, na pół jakoby do osób blizkich.

Takie stosunki trwają do 26 kwietnia 1909 roku. Tego dnia Borowska wraca do Krakowa z zamiarem pozostania do końca semestru i zdania reszty egzaminów; zastaje w Krakowie sytuacyę zupełnie zmienioną, tutaj też obudza się to wszystko, co uważała może za uśpione i minione.

Zmieniły się przedewszystkiem stosunki osobiste Lewickiego. Gdy Borowska przybyła do Krakowa, Irena hr. Tyszkiewiczowa, którą Lewicki znał od lat kilku, uważała się za jego narzeczoną. Lewicki miał zamiary matrymonialne, a jego rezerwa wobec Borowskiej była wśród tych warunków całkiem zrozumiała. Borowska spostrzegła zmianę w usposobieniu Lewickiego zaraz w początkach i musiała być o tem mowa między nią a Lewickim, skoro Lewicki już w pierwszej połowie maja uważa za potrzebne usprawiedliwiać fakt, że nie odwiedza Borowskiej w jej mieszkaniu w hotelu „Victoria“ i tłómaczy rzecz obawą komentarzy, któreby odwiedziny jego w tych warunkach wywołać mogły.

Intensywna praca do egzaminu, a może i oględność Lewickiego, który właśnie w tym czasie wyjechał do Warszawy i zabawił tam do 12 maja, wstrzymały na razie u Borowskiej proces obudzonej czujności. Zdanie egzaminu w dniu 11 maja zmieniło położenie rzeczy. — Borowska ma teraz czas i swobodniejszy umysł: zaczyna badać. Całymi dniami niema jej w domu i widocznie śledzi Lewickiego, niebawem wie o każdym jego kroku, wie szczegóły jego spotkań, wyjazdów i powrotów. — W tym czasie czyni dwukrotne próby, aby wynająć pokój w domu przy ulicy Wolskiej 28, gdzie mieszka hr. Tyszkiewiczowa.

Rezultatem tego śledzenia jest przekonanie, że powodem zmiany w usposobieniu dla niej jest kobieta. — Przekonanie utwierdziło się przez fakt, że właśnie w maju spotkania Lewickiego z hr. Tyszkiewiczową były częstsze a potem codzienne. Z właściwą sobie zdolnością zawiązywania stosunków przyjaźni dla celów realnych, Janina Borowska weszła w zażyłość z osobami z bliższego otoczenia Lewickiego także z jego kancelaryi i dowiedziała się reszty. Dowiedziała się więc z pewnością, że Lewicki zamyśla zlikwidować swoją przeszłość, że chce założyć ognisko domowe, słowem, że zanosi się na zmiany trwałe.

Nieprzeparta chęć natychmiastowej, zupełnej rozmowy z Lewickim, chęć stwierdzenia prawdy u źródła była już tylko konsekwencyą odkrytej prawdy. — Więc nachodzi Lewickiego — żąda zwrotu listów, domaga się rozmowy w cztery oczy. Lewicki nie odmawia z początku wprost, tłómaczy się brakiem czasu, trudnością wyszukania dokumentów. Gdy nalegania stają się natarczywsze a odwiedziny częstsze i dłuższe, Lewicki ukrywa się w swoim pokoju lub poprostu ucieka z domu.

Zdenerwowanie Borowskiej wzrasta. Niekiedy nachodzi ją myśl samobójstwa i wówczas łamie sobie obojczyk, niekiedy pała żądzą zemsty, a wówczas Andrzejowi Balickiemu odkrywa całą sprawę sfabrykowania deklaracyi, niekiedy tęskni do życia pogodnego, do męża.

Z Lewickim chce skończyć stanowczo. Poniżenie ją gnębi. Pisze doń z początkiem czerwca list, w którym jest mowa o dziecku wspólnem.

Lewicki, rzecz zrozumiała, unika jej i wymyka się na każdym kroku. Jakby przeczuwał niebezpieczeństwo. Nawet rewolwer przy sobie nosi w obawie Borowskiej.

Nie uszedł jej jednak.

Borowska miała sposobność pomówić z Lewickim sam na sam w nocy z 4 na 5 czerwca 1909 r. A rozmowa ta skończyła się — jego śmiercią.

Z bieżącej chwili

Śmierć kardynała.

W Rzymie zmarł ceniony dla prawości charakteru kardynał Sattoni. W czasie ostatniego „Conclave“ odegrał kardynał Sattoni wybitną rolę, nakłaniając arcybiskupa weneckiego Sarta, do przyjęcia godności papieskiej słowy św. Tomasza z Akwinu, że na wypadek jednomyślnego prawie wyboru na tę godność, wybrany nie winien wymawiać się od przyjęcia, gdyż wybór ten jest dowodem woli Opatrzności.



† Kardynał Sattoni.

* * *

Nowy sukces w lotnictwie i nowa ofiara tego sportu.

Lotnictwo czyli żegluga napowietrzna święci coraz większe tryumfy na obu półkulach. Niedawno Francuz Hubert Latham wzbił się na swym latawcu pod Chalon do niebywałej wysokości 1000 metrów. Rekord ten wprawił w zdumienie świat cały i zdawało się, że nikt Lathama nie pobije. Tymczasem donoszą depesze z Nowego Yorku, że dnia 12-go b. m. Francuz Paulham wzbił się na swym latawcu w Los Angeles aż do wysokości 1380 metrów. Wspaniały ten wzlot trwał 50 minut i 56 sekund.

Że sport lotnictwa jest nadzwyczaj ryzykowny, o tem świadczy znów nowa katastrofa, piąta z kolei w krótkim stosunkowo czasie. Ofiarą katastrofy padł Francuz Delagrange. Oto szczegóły katastrofy:



† Leon Delagrange.

W mieście francuskiem Bordeaux, sławnem z handlu winem, odbywały się po Nowym Roku wyścigi latawców. Zebrało się dużo najsławniejszych i ubiegali się o nagrody. Między nimi był i trzydziestoletni, odważny i śmiały Delagrange. Przez dłuższy czas popisywał się trudnemi zwrotami w powietrzu, pomimo silnego wiatru, aż przyszło nieszczęście.

W chwili gdy Delagrange po raz ósmy skręcał przed tak zwanemi trybunami, to jest szopami otwartemi, w ktorych siedzi publiczność, coś się nagle zepsuło w maszynie, jedno skrzydło latawca zgięło się, ludzie na ziemi usłyszeli trzask i latawiec runął na ziemię z wysokości 20 metrów. Czemprędzej najbliżsi pospieszyli do strzaskanej maszyny i chcieli ratować człowieka. Ale wydobyli już trupa: nieszczęśliwy miał złamaną czaszkę, kręgosłup, trzy żebra i obojczyk.

Tych, co swoje siły i naukę oddają

próbom latania, trzeba szanować jako ludzi zasłużonych dla przyszłych pokoleń. Oni to z narażeniem życia robią latawce coraz lepszemi i chcą doprowadzić do takiej doskonałości, aby wszyscy ludzie mogli latać kiedyś po powietrzu, tak jak jeżdżą dziś po ziemi kolejami i samochodami, a parowcami po wodzie. Ci, co giną przy tych próbach, są ofiarami swoich doświadczeń, pożytecznych dla ludzkości. Tem większa ich szkoda, że wszyscy są ludźmi młodymi, dzielnymi, a przytem bardzo odważnymi. Trzeba zresztą wiedzieć, że latanie po powietrzu to rzecz dziś jeszcze kosztowna, na którą mogą sobie pozwolić tylko ludzie bardzo zamożni, a dochody z latania są prawie żadne w porównaniu z kosztami.

* * *

Do bieguna — południowego.

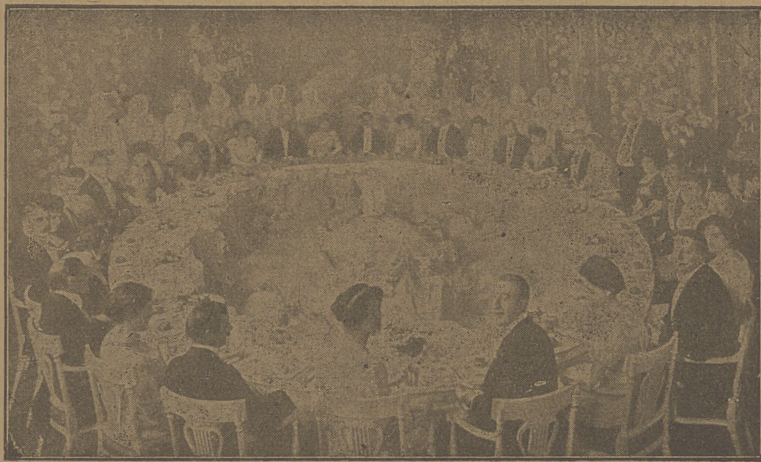
Ostatecznie więc zadecydowano i do uwierzenia podano, że Peary rzeczywiście dotarł do bieguna północnego. Wydała wyrok—oparty na długich roztrząsaniach naukowych — „National Geographic Society“ amerykańska. Zweryfikowano wszystkie dokumenty i dowody, złożone przez Pearyego. Ustanowiono wreszcie ściśle, że Peary stanął na biegunie północnym dnia 6 kwietnia roku 1909.



Ernest Shackleton i jego małżonka.

Zanim jeszcze biegun północny został zdobyty, starali się liczni podróżni dotrzeć do bieguna — południowego. Bawi właśnie w Berlinie słynny podróżnik podbiegunowy, sir Ernest Shackleton, i rozmawiał z korespondentem dziennika „Echo de Paris“ na temat szans dostania się na biegun południowy. Szanse są nieduże. Inne są w okolicy bieguna południowego warunki „miejscowe“, niż u bieguna północnego. Morze inne, lądy inne; psami, jak zwierzęciem pociągowem, można posługiwać się tylko w bardzo ograniczonej mierze. Braknie wreszcie Eskimosów, nieocenionych aliantów podróżnika. Shackleton nie wierzy, aby hr. Zeppelin i prof. Bergesell mogli dolecieć do bieguna południowego — balonem. Znowuż ekspedycya kapitana Scotta rywalizuje z wyprawą, którą zamierza rychło bardzo zorganizować Peary, musiałby drogi nałożyć, rozbijając swój obóz w odległości 1200 kilometrów od bieguna południowego. Ale — ludzka przedsiębiorczość i energia niewyczerpane.

Na rycinie widzimy obok słynnego podróżnika Shackletona jego małżonkę.



Uczta milionera.

* * *

Uczta milionera.

Amerykański milioner Jerzy Kessler urządził w ostatnim czasie w hotelu Savoy w Londynie bardzo kosztowną ucztę. Dekoracye obrazowały arktyczne strefy z biegunem północnym, zamieszczone w środku stołu. Było tam potężne pole lodowe z olbrzymiemi soplami śniegu, wśród którego znajdowały się naśladowane białe niedźwiedzie i t. p. Kelnerzy przyodziani byli w futra Eskimosów. Wszystko to działo się wśród nadzwyczaj chłodnej atmosfery. Nakrycie za osobę kosztowało 1,200 mrk.; nadto otrzymał każdy z gości dyament wartości 15,000 mrk. Milioner nie zapomniał przytem o biednych, pomiędzy których kazał rozdać podarki.

* * *



Menelik, cesarz abisyński.

Podobno cesarz abysyński, który oddawna niedomagał na zdrowiu, i o którego śmierci już zdawna chodziły pogłoski, umarł 23. grudnia zeszłego roku. Tak przynajmniej donosi katolicka misya z Harrar. Śmierć negusa Menelika zachowywano w tajemnicy, obawiając się rewolucyi o następstwo tronu.

KARNAWAŁ.

Życie! wesołość—świat tańczy, szaleje,
Bale, przyjęcia, festyny, zabawy,
Już zdala słychać muzykę i wrzawy,
Na ustach uśmiech, a w sercu nadzieje!

Dorodnych kobiet wiruje tłum cały,
Jak z krasnych kwiatów girlanda spleciona,
W szalonym wirze lśnią białe ramiona,
Czarownych wizyj śnią się ideały!

Modnego walca rozbrzmiewają tony,
Zastęp młodzieży, danserki wybiera,
Woń świeżych kwiatów i wesołość szczera,
Zlewa się w nastrój jakiś rozmarzony.

Za chwilę mazur znów dźwięczy ochoczy,
Rozliczne pary stawają w szeregu,
Zda się, że płyną do zbawczego brzegu,
Że smutek nigdy szczęścia nie zamroczy!

Przy stole szampan leje się obficie,
Rozmowy, szepty w gwar się zamieniają,
Serdecznem tętnem serca uderzają,
Tym, co się złączyć chcą na całe życie.

I tak do rana trwa ten szał uroczy,
Ileż nadziei ziści się po balu?
Czy nikt nie dozna rozczarowań żalu?
Czy łzą zawodu nie zroszą się oczy?

Skończy się taniec i jak sen przeminie —
I znów się zacznie owo życie szare,
Snuj plany szczęścia — dopóki masz wiarę —
Biada — gdy tylko zostanie wspomnienie . . .

Marja Paruszewska.

Poznań, 22. I. 1910.



Album „Pracy.“

Przy studni.

Drukiem „Pracy.“

Epizod z 1863-go roku.



Powstańcy osaczeni przez Moskali.

W styczniową rocznicę.

Nie nam marzyć o róż rwaniu,
O bogdance i kochaniu —
Dla nas niema róż.
My jak ptacy na wędrówce
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już!
(Mieczysław Romanowski).

Czterdzieści siedem lat upływa, gdy zagrożona branką młodzież polska, zanosiła tę smętną piosnkę walecznego żołnierza-poety i poszła w lasy, by rozpocząć walkę z carską przemocą. Komitet Centralny, dzierżący ster spraw narodowych, zaskoczony piekielnym pomysłem rządu moskiewskiego zapobieżenia powstaniu, przez porwanie całej ówczesnej młodzieży polskiej w 25 letnią służbę wojskową, zmuszony był do rozpoczęcia walki orężnej, bez należytego jej przygotowania pod względem wojskowym. To było powodem, iż bohaterskie boje 1863 i 1864 roku nie osiągnęły swojego głównego celu: oswobodzenia Polski od przemocy moskiewskiej i powrócenia jej wolności, oraz niepodległości narodowej. A przecież boje te, do pewnego stopnia były zwycięskiemi; spowodowały bowiem spełnienie jednego z haseł, wypisanych na chorągwi powstania, wywalczyły oswobodzenie ludu rolnego od pańszczyzny.

Komitet Centralny, zmuszony do rozpoczęcia boju, zamienił się w tymczasowy Rząd Narodowy i dnia *22-go stycznia 1863 r.* wzywając naród polski do broni, ogłosił zniesienie pańszczyzny i równość wszystkich stanów. I zawrzał krwawy bój na całym obszarze tej części ziemi polskiej, nad którą cięży berło carskie. Do boju tego, po jednej stronie, stanęło kilkanaście tysięcy powstańców, byle jak uzbrojonych, pozbawionych wszelkich zapasów wojennych, uczących się rzemiosła wojennego pod ogniem nieprzyjacielskim, lasy mających za jedyne fortece swoje, po drugiej, pół miliona żołnierzy licząca armia carska, wyposażona we wszelkie potrzeby bojowe, armia tak silna, jak ta, która niedawno walczyła przeciw Japończykom. A przecież zapasy trwały pietnaście miesięcy, przecież orzeł biały powiewał wśród nich *zwycięsko* w licznych dziesiątkach bitew i potyczek; na polach Staszowa, Wąchocka, Pyzdr, Ignacewa, Myszyńca, Kobylanki, Panasówki, Salichy, Miropola i w dziesiątkach innych dni chwały i zwycięstwa.

Do największych bitew zaliczyć trzeba bitwę w okolicach Gopła, gdzie walczyło tysiąc Polaków przeciw sześciu tysiącom Moskali. W bitwie tej odznaczyli się dzielnie kosynierzy. Jednakże powstańcy musieli uledz. Padło ich 150, a 26 Moskale żywcem spalili.

Z wielkiem powodzeniem bił Moskali Chmieliński w kilku miejscowościach, tak samo Lelewel czyli Borelowski, rzemieślnik, stoczył zaciętą bitwę pod Krasnobrodem.

Bój ustał wówczas dopiero, gdy jeden z jego celów został osiągnięty, gdy car widząc, że inaczej nie zwycięży powstania, ukazem z dnia 2 marca 1864 roku zniósł pańszczyznę, a tem samem zatwierdził co do tego punktu, manifest Rządu Narodowego, wydany *trzynaście miesięcy pierwej, w dniu 22-go stycznia 1863 roku.*

Stoczono ogółem tysiąc mniejszych i większych potyczek, padło około 30 tysięcy powstańców, 1500 rozstrzelali Moskale lub powiesili na szubienicach, a z jakie 150 tysięcy rodaków obojej płci poszło na wygnanie. Gotówką pochłonęło powstanie co naj-

mniej 500 milionów złotych polskich, a strata w zabranych i skonfiskowanych dobrach przez Moskali dochodzi do półtora miliarda.

To wszystko jednak niczem wobec tego, co działo się teraz w Królestwie i na Litwie. Uciski, tortury, szubienica, Sybir, nahajka, to była odpowiedź rządu rosyjskiego. Nastały dla narodu iście czasy Neronów. Taki Murawiew, zwany „Wieszatelem,“ rządca Litwy, godny stanąć obok takiego potwora, jakim był Neron, cesarz rzymski, ów okrutnik wielki i matkobójca.

Nikt się z mocarzy świeckich nie ujął za Polakami, nikt nie zaprotestował, choć tyle było obetnic, a jeszcze więcej nadziei. Jeden, papież Pius IX., jedyny przyjaciel Polaków, nakazał publiczne modły w Rzymie za nieszczęśliwy naród polski.

Polsce i Polakom pozostała ta gorzka nauka, że w ciężkiem swojem położeniu liczyć powinni tylko na własne siły. Gdy zaś tych brak, gdy jeszcze nie są przygotowane dostatecznie, pomnożyć trzeba pracę nad ich wyrobieniem. W walce bowiem zwycięża ten kto mocniejszy!

Dziś w styczniową rocznicę złóżmy pamięci męczenników i bohaterów powstania, pamięci oswobodzicieli ludu w zaborze uciśnionym przez cara, hołd czci i chwały.



Odwaga w życiu codziennem.

Ułożyć sobie życie według utartych zasad obyczajowych, jest bardzo trudnem zadaniem dla tych, którym zbywa na odwadze. Rzadko bardzo i to chyba przypadkowo udaje się człowiekowi, nie posiadającemu odwagi, nie uzbrojonemu należycie w gorliwość i wytrwałość — przyprowadzić do skutku to, co sobie najmocniej postanowił.

Kto drży przed ludzką naganą i po lada najmniejszem rozczarowaniu traci odwagę, kto nie może zapanować nad swemi ułomnościami i błędami, ten nigdy nie wzniesie się ponad siebie i zawsze będzie się krępował rzeczywistemi lub urojonemi granicami.

Nie każdemu z nas można się zdobywać na taką odwagę, jaką się męczennicy lub zdobywcy świata odznaczali, lecz każdy może i powinien zdobyć się na odwagę niezbędną w życiu codziennem.

Do nadzwyczajnych w tem życiu czynów powołanych jest bardzo niewielu — lecz czyż nie jest o wiele zaszczytniej przejść przez życie z tysiącami jego codziennych walk i utrapień z dumnie podniesionem i pogodnem czołem, niż spełniać szybko jakiś ryzykowny, odważny czyn?

Miej odwagę pokonać samego siebie, swoje namiętności i nawyczki i odrzucić wszelkie wymówki, które ci tak łatwo na usprawiedliwienie twych czynów z pomocą przychodzą.

Miej odwagę wypowiadać gdzie należy twoje zdrowe zapatrywania i nie bądź pobłażliwym, gdzie widzisz fałsz, lecz wszelkiemi siłami zawsze pomagaj prawdzie na wierzch wypłynąć. Kto milczy na zło — jest jego wspólnikiem — a kto podnosi dobrą działalność i wskazuje na nią — sieje niejako ziarno podobne do dobrych czynów.

Miej odwagę przyznać się do popełnionego błędu lub do nieświadomej jakiejś rzeczy. Roztrząsając w ten sposób swoje sumienie, wyrobisz sobie szacunek i pójdziesz drogą prawdy i postępu.

Fałszywy wstyd, który zabija wszelką odwagę, wypływa z pychy lub tchórzostwa i jest bezpłodny, jak pusty kłos.

Miej odwagę znieść mężnie i z uśmiechem na twarzy to, co raz koniecznie doświadczyć będziesz musiał.

Miej odwagę raz jeszcze rozpocząć to, co ci przedtem się nie udało.

Miej odwagę przyznać się, że twoje środki nie pozwalają ci na zbyteczne wydatki, przez co odejmiesz sobie wiele goryczy, a zaoszczędzisz sobie wiele nieprzyjemności i upokorzeń.

Miej odwagę przekładać bardziej zdrowie i wygodę ponad przyjęte zwyczaje i wymysły nierozsądnej mody.

Miej odwagę traktować twych biednych, niepokaźnych przyjaciół serdecznie nie tylko, gdy sam z nimi jesteś, lecz i wtedy, gdy spotkasz ich w towarzystwie takich ludzi, którzyby cię za takie nieznajomości nawet mniej szanować mieli.

Miej w końcu odwagę poddawać wolę twoją pod odwieczne prawo chrześcijanina — twoje wygody pod wolę bliźniego, twoje nawyczki ofiaruj obowiązkowi twego bliźniego i powołania.

Wówczas łatwiej przejdziesz przez życie, bo nie trwożąc się nikim i niczem, staniesz się prawdziwie niezależnym.

Jak płuca w próżni, tak duch ludzki w sceptyzmie umiera.

F. Krupiński.



Władysław Bełza.

NARODZINY PIOSENKI.

Przed wiekami, przed dawnemi,
W niskiej chatce bez okienka,
Na tej starej polskiej ziemi,
Narodziła się piosenka.

Nikt nie wiedział jak i kiedy,
Przyszła piosnka na świat Boży:
Czy się wzięła z łez i biedy,
Z blasków słońca czy też z zorzy?

Ale kto ją ujrzał zbliska,
Już szedł w duszy z jej obrazem;
I dziwili się ludziska,
I płakali z piosnką razem...

A gdy uśmiech, gość przelotny,
Na usteczkach jej zawisnął,
To bywało jak w dzień słotny,
Kiedy promień słońca błysnął.

Z tym uśmiechem, w takt piosenki,
Niezbadanych czarów siłą,
Łzy się kryły, milkły jęki,
I otuchą serce biło.

I szukano w ziemi całej,
Aż gdzie słońca gasną łuny,
Dla dzieciny, dla tej małej,
Karmicielki i piastuny.

Raz w noc bylin, u prząśnicy,
Sama piosnka ją odgadła,
I na ustach krasawicy,
Jak motylek lekko siadła.

I objęła ją rączkami,
Tuląc główkę w rąbek szaty,
To znów siejąc pod stopkami,
Słońce, wiosnę, woń i kwiaty...

Snać znalazła w niej dziecina,
Karmicielkę natchnień słodką, —
Bo zajęła się dziewczyna,
Opuszczoną tą sierotką.

Przygarnęła ją w ramiona
Niby jej macierzy duszka;
Ogrzewała ją u łona,
Kołysała w takt serduszka.

I już odtąd, w jedną stronę,
Szły przez wieki w ręku ręka,
Niby siostry dwie rodzone:
Polskie dziewczę i piosenka.

O! niech długo, długo jeszcze,
Na tej smutnej naszej glebie,
Wszystkie pieśni, dumy wieszcze,
Polskie dziewczę tak kolebie.

Zgodnie z swojem przeznaczeniem,
Niech wciąż spełnia rolę wielką:
Wieszczów stając się natchnieniem,
A ich pieśni krzewicielką.



Męczennicy Wiedzy.

Historya bohaterskiej śmierci dra Jana Herberta Wellsa, uczonego angielskiego, który niedawno uległ nosaciźnie po ośmnastu miesiącach nieopisanych cierpień, stawia jeszcze jedno nazwisko na stale wzrastającej liście ludzi, co stali się męczennikami wiedzy naukowej dla dobra swych bliźnich.

Dawni mężowie wiedzy, jak Galileusz, Kopernik i inni, cierpieli prześladowanie za wygłaszanie śmiałych naukowych teoryj, a różni poszukiwacze za tajemnicą przemiany metalów, albo źródłem ciągłego ruchu, każdą cząstkę swej istoty oddawali poszukiwaniu za naukową prawdą.

Ale szybszem tempem, z jakiem postępuje wiedza — zwłaszcza wiedza medyczna — w ostatnich czasach, liczba męczenników wiedzy gwałtownie wzrosła. W dniach dzisiejszych każdy praktykujący w szpitalu student medycyny dzierży swoje życie w swem ręku, i tu i tam wiedza zabiera swą ofiarę.

Przeszło trzy miesiące temu zanotowano w Paryżu śmierć lekarza Jacquesa Ant. Regniera, syna jednego z wybitnych członków Akademii medycznej, który nabył zakażenie krwi, gdyż dokonywał pośmiertnej egzaminacyi zwłok w szpitalu Neckera. Na łożu śmierci napomniał przyjaciół, by nie rozpaczali, „bo“ — jak mówił — „ja umieram jak żołnierz na polu bitwy; kiedy podejmujesz karyerę medyczną, stajesz wśród niebezpieczeństw i powinieneś być zawsze gotów na spojrzenie im w twarz“.

Takie są uczucia, które przepełniają prawie wszystkich tych ludzi, co poświęcają dzisiaj swe życie dla dobra wiedzy, do której ludzkość dąży.

Zarażeni dżumą.

Przed osiemnastu miesiącami, na kwarantannie w Singapore umarł pacyent, i konieczną była egzaminacya zwłok, aby stwierdzić przyczynę śmierci. Dwaj lekarze—dr. Raikes i dr. Wray — obaj zajmujący rządowe posady i stąd z obowiązku zarówno jak z powołania — podjęli niebezpieczne zadanie. Obydwaj zarazili się dżumą; obydwaj umarli. Śmierć, nad polem bitwy ramiona swe rozpościerająca, jest litościwsza.

Śmierć dra Allena Macfadyena, bakteryologa, w Londynie przed dwoma laty, przypisano kombinacyi dwóch



Józef (Józik) **Przy organach.**

chorób, jakich nabył w poszukiwaniu za środkiem mającym chorobom tym zaradzić. Dr. Macfadyen pracował w instytucie Listera i przeprowadzał szereg eksperymentów z bakcylami tyfusu i febry maltańskiej, w zamiarze wykrycia wakcyny, środka, mającego zapobiedz tym chorobom. Przypadkiem, jak przypuszczają, nabył obydwie choroby i jego nazwisko dodano do listy męczenników laboratoryum medycznego.

Zaledwie parę miesięcy upłynęło od śmierci Macfadyena, gdy ogłoszono śmierć dra W. H. Browna, jednego z najwybitniejszych członków ciała medycznego w Leodyum i specyalisty w leczeniu raka. Dwa lata przedtem, podczas operacyi dokonywanej na pacyencie, nabył zakażenia krwi, a to, jak przypuszczają, wywołało chorobę raka, która spowodowała śmierć lekarza.

W kilka dni po śmierci tego ostatniego, dr. Seneca Powell, jeden z najznakomitszych lekarzy w Stanach Zjednoczonych, i profesor w szkole medycznej pod nazwą: New York Postgraduate Scholl of Medecine, padł ofiarą swych śmiałych badań w zakresie zatrucia karbolowym kwasem.

Przypuszczając, że czysty alkohol może być użyty jako antidotum przy zatruciu kwasem karbolowym, dr. Powell dokonywał wciąż eksperymentów na samym sobie, aby wypróbować swą teoryę dla pożytku ludzkości. Te bohaterskie eksperymenty podkopały siły jego organizmu i zmarł jako męczennik wiedzy.

Wynalazca radyum.

Profesor Curie, który ze swą żoną Polką, panią Curie-Skłodowską, zdobył zaszczytne miejsce w historyi wiedzy, jako wynalazca radyum, uległ prawdopodobnej śmierci męczennika, wskutek wypadku ulicznego w Paryżu, który przeciął pasmo jego życia. Jego podróż do Londynu z pierwszą rurką, zawierającą nigdy dotychczas niewidziane radyum, spowodowała ranę w jego piersi, której wygojenie zajęło kilka miesięcy, ponieważ promieniowane radyum przeszło jego kamizelkę i bieliznę spodnią i przepaliło mu pierś do kości. Doświadczenia z radyum okryły ranami jego dłonie i ramiona, które faktycznie były po łokcie sparaliżowane.

W Ameryce początkowe doświadczenia z promieniami Roentgena, zaznaczyły się śmiercią dwóch ludzi. Jednym był Clarence Dally, główny pomocnik Edisona, a drugim dr. Louis Weigel z Nowego Jorku.

Przez siedem lat był dr. Dally męczennikiem choroby dermatitis, spowodowanej przez poddanie jego dłoni i ramion działaniu promieni roentgenowskich. Na lewej ręce utworzyła się narośl rakowata, tak, że trzeba ją było odjąć po łokcie. Jego głos zupełnie zamarł. Trzeba było następnie odjąć cztery palce prawej ręki, a za niemi poszła cała ręka. Ale to nic nie pomogło i we wrześniu roku 1904 złożył dr. Dally swe życie wiedzy w ofierze.

Różne pisma w ostatnich paru latach doniosły nam o całym szeregu innych eksperymentatorów, którzy przechodzili rozmaite operacye na skutek uprzednich doświadczeń z promieniami X. Między innymi dr. Hall Edwards z Birmingham przeszedł straszne cierpienia, zanim mu obydwie ręce odjęto; dr. Cox poddał się w lutym z. r. drugiej z rzędu operacyi, a dr. Cecil Lyster ze szpitala Middlesex Hospital Finsen jest także jednym z tych, co zostali kalekami na całe życie, poświęcając swe zdolności i swe zdrowie dla wiedzy.

Ofiary febry tropikalnej.

Nazwisko dra Macatiera Tirrie, który odbył dwie wyprawy wzdłuż Nilu w Egipcie dla studyowania febry tropikalnej, jest na liście ofiar badań naukowych.

Dr. Tirrie przedostał się aż do granicy Abisynii, idąc brzegiem Nilu przez najbardziej zabójcze tereny. Powrócił do domu dotknięty chorobą, którą starał się wykorzenić. Jakkolwiek napisał sprawozdanie ze swej podróży i osiągniętych rezultatów dla Stowarzyszenia Brytyjskiego, za słaby już był, aby je mógł odczytać przed tem ciałem naukowem, i umarł, licząc zaledwie dwadzieścia lat życia.

Dr. Dalton z instytutu Liverpool School of Tropical Medicine miał zaledwie lat dwadzieścia dziewięć, gdy umarł na żółtą febrę, zaraziwszy się tą chorobą od pacyenta, którego starał się z niej wyleczyć.

Wiele chorób zgładziło ludzi, którzy bez trwogi w twarz im spojrzeli.

Dwa lata temu, w czasie gdy wybuchła zabójcza febra w Rzymie, dr. Zampagnani, leczący kilka osób, nabył tej choroby, ale pomimo w obliczu zbliżającej się ku niemu śmierci, siedział i pisał recepty przeciw febrze, której skutki tak się fatalnie na jego życiu odbiły.

W Turynie, dr. Giuseppe Bosso eksperymentował z bakcylem tuberkulicznym, który hodował w laboratoryum uniwersyteckiem. Ten sam bakcyl, przez niego wyhodowany zaraził jego krew, i jego nazwisko także zamieszczono na liście męczenników wiedzy.



Edmund Libański.

Z postępów wiedzy i techniki.

(Grająca lampa. Fotofon Simona. Mówiąca fotografia. Elektryczne oko. Telefon bez drutu.

Jesteśmy w wielkiej sali dla doświadczeń, z łukowej lampy rozlewa tajemnicza siła strugi wspaniałej jasności — i nagle rozlega się cudowny śpiew z akompaniamentem koncertowej muzyki.

Oczarowani, szukamy, skąd się to bierze — co za cud?...

Tony są czyste, falują wokół to w najtkliwszem brzmieniu pianisima, to w grzmiącem forte — czy to może przypadkiem doskonały ukryty fonograf urządza nam tę miłą niespodziankę?

Nie — niema fonografu — niema ukrytego mechanizmu — daleko od nas śpiewa w istocie koncertantka, ale w rzeczywistości w tej sali wydobywa się ten upajający czar pieśni i tonów z tego łuku świetlnego, migocącego zlekka, a choć bierze nas w posiadanie zaklęty świat piękna, czujemy zachwyt nad tem dziełem wiedzy i pracy.

Fotofon Simona przekształca światło w głos, zasada jest nader prosta.

Oto w r. 1897 zauważył profesor fizykalnego instytutu w Erlangen, że łuk świetlny w laboratoryum wydawał charakterystyczny trzask, zupełnie taki sam, jak trzask induktora, znajdującego się w odległym gabinecie. Począł śledzić to zjawisko i pokazało się, że przewód aparatu indukcyjnego był na krótkiej przestrzeni równoległy od przewodu, dostarczającego prąd do lampy elektrycznej. I oto słaby, zmienny prąd induktora oddziaływał na silny prąd stały płomienia elektrycznego, wywoływał analogiczne zmiany, które znowu wprawiały w ruch fale powietrza oddające charakterystyczny głos. Łuk świetlny, który stanowi niejako most (między oddalonemi końcami węgła) dla prądu stałego, jest niezmiernie wraźliwy na najlżejszą zmianę prądu. Fale głosowe, które w mikrofonie wywołują zmianę prądu elektrycznego, mogą więc w ten sposób oddziałać na łuk świetlny, jak na blaszkę w słuchawce telefonu, z tą tylko różnicą, że słyszymy wszystko wyraźnie bez pomocy tuby.

Można również przeprowadzić urządzenie odwrotne, że wszystko to, co mówimy, lub śpiewamy w pobliżu łuku świetlnego, będzie wyraźnie słyszalne w telefonie, fale głosowe wpływają na prądy płynące przez łuk świetlny i prądy te w telefonie wywołują napowrót fale głosowe.

Z pomocą reflektorów przesyłać można te zmieniające się pod wpływem głosu fale świetlne na odległość ponad 100 klm. i można te fale przemienić napowrót w głos, w odpowiednio skonstruowanym aparacie.

I tu zasada jest bardzo prosta — oto istnieje charakterystyczne ciało, selen (metaloidy nie przewodzą elektryczności).

Blaszka selenu w ciemności wcale nie przewodzi elektryczności, pod wpływem jednak światła, staje się dobrym przewodnikiem i to tem lepszym, im pełniejsze i żywsze są te fale światła. Blaszkę taką włączamy w przewód z urządzeniem telefonicznem i wystawiamy ją na działanie tego światła mówiącego, łuku elektrycznego, światła, które z pomocą reflektora przesyłać można i na 400 klm. odległości.

A teraz dalsze niespodzianki. Prof. Ruhmer fotografował głos, to niedostrzegalne migotanie mówiącej lampy, pasek, na którym są jaśniejsze i ciemniejsze prążki, umieścił w aparacie kinematograficznym i rzucał fotografię tę na blaszkę selenu, włączoną w przewód telefoniczny. W jego fotografonie mówi fotografia.

Głos przemieniony w prąd-światło, a światło napowrót w prąd i głos — duch wynalazczy rwie się wyżej w swych marzeniach, czy nie możnaby widzieć na odległość? Tak, jak „ucho elektryczne“ przynosi nam głos drugich osób, czy nie



Józef Ryszkiewicz. **Wesoła jazda.**

W przestrzeni, wypełnionej temi wysyłanemi falami, można było za pomocą tego aparatu słyszeć mowę, śpiew, muzykę, wysyłaną z zamkniętego pokoju stacyi nadawczej.

Była to pierwsza próba!

Telefon bez drutu, to istotnie nowe przekształcenie życia zbiorowiska ludzkiego w bajeczny sposób — nie dziw więc, że poważny uczony, jak na przykład profesor Ayrton, snuje taki obraz przyszłości:

„Nadejdzie dzień, gdy i pamięć o nas zupełnie zaginie, gdy miedziane druty, gutaperkowe izolatory, taśmy żelazne już dawno w muzeach spoczywać będą, a wtedy człowiek, chcący porozmawiać z przyjacielem, zapyta go elektrycznem głosem, który tylko jednako strojone elektryczne ucho usłyszy:

„Gdzie jesteś?

A doleci go wówczas odpowiedź przyjaciela:

„Jestem w głębiach kopalni, albo na szczycie Kordylierów, lub też na bezbrzeżnym Oceanie.

Uśmiechacie się niedowierzająco?

A wiecie, że gdy ojciec dzisiejszych telefonów, Heiss, przesłał rozprawę o swoim wynalazku do słynnych „annałów Pogendorfa“ (wydawnictwo naukowe dla postępu wiedzy) w Niemczech odesłano mu manuskrypt z dopiskiem: „bzdurstwo fantasty!“

Tak, wynalazek telefonu musiał wrócić do Ameryki — wynalazcą Graham Bell!

„D. Ch.“



zdołamy widzieć je „elektrycznem okiem?“

Zasada jest, obraz świetlny zamienić w prądy elektryczne, wysłać je drutem, lub bez drutu w przestrzeń, a następnie chwytać te prądy przewodami i przekształcić je selenem napowrót w światła. „Nil admirari“ powiada dziś człowiek wyrafinowanej kultury, któremu cuda nowoczesnej techniki usłały żywot sybarycki.

Wiadomo, że przy radiotelegrafie (telegrafia bez drutu na falach elektrycznych — czyli promieniach) fale elektryczne, wysyłane za pomocą induktorów iskrowych ze stacyi nadawczej, idą w przestrzeń i gromadzą się w tem samem tempie na aparatach stacyi odbiorczej za pośrednictwem wysoko wyniesionych drutów (anteny). — Czyżby więc nie można wysyłać głosu, słowa w przestrzeń na takich falach?

Można — skonstruowano odpowiednie aparaty, słynny inżynier duński Poulson rozwiązał ten problem i telefonowano niedawno temu ze Sztokholmu do Kopenhagi — bez drutu.

Po raz pierwszy próbowano to już podczas wystawy w St. Louis.

Fale głosowe przy telefonie, przekształcone w prądy elektryczne przy pomocy odpowiedniego aparatu, oddziaływały na induktory, a te wysyłały w przestrzeń niewidzialne fale elektryczne. Fale te ani uchem, ani zwykłym telefonem nie mogły być uchwycone.

Dopiero odpowiedni aparat odbiorczy, znajdujący się na płycie, trzymanej w ręku, który fale te odbiera i wraz ze zmianą tychże zmienia natężenie prądów elektro-magnetycznych w słuchawce telefonicznej — oddaje wysyłane wrażenie głosowe.

Wypleniajmy.

Wypleniajmy chwasty
Na rodzinnej glebie,
A będziemy radzi
I z świata, i z siebie.
Wypleniajmy chwasty
Siłami całemi,
A będzie nam milej,
Weselej na ziemi.
Wypleniajmy chwasty,
Z dusz brzydkie kąkole,
A Pan Bóg nam ześle,
Stokroć lepszą dolę.
Wypleniajmy chwasty
Z każdej ludzkiej duszy,
A nie będzie świat ten
Podobny do głuszy.
Wypleniajmy chwasty
Siłami całemi,
A będzie nam lepiej,
I milej na ziemi!



Dział kobiecy.

Kobiety pracujące w domu.

Znany ze swego zainteresowania sprawami społecznemi hr. de Hansonville, autor wybornego dzieła o kobietach, ogłosił ciekawy artykuł p. t.: „Te, które pracują w domu". Pisząc go, opiera się głównie na wyczerpującej ankiecie, urządzonej przez Biuro pracy w Paryżu pod kierunkiem dyrektora p. Fontaine, prowadzonej przez pana Alfassa. Według odpowiedzi 540 robotnic, 29 przedsiębiorczyń, 18 fabrykantów złożono materyał informacyjny pełen interesu dla tych, którzy się zajmują warunkami życia klas pracujących. Jako okazowy typ pracy domowej, wybrano białe szycie; jest to gałąź zarobku najwięcej rozpowszechniona, uważana za najłatwiejszą, wskutek czego już zaraz po ukończeniu szkoły, dziewczęta 13 i 14 letnie biorą się do szycia. Zresztą bielizna jest ciągle, przez cały rok towarem pokupnym i dlatego wielkie magazyny nie znają miesięcy zastoju; wielka łatwość taniej pracy pomaga im do zdobywania tanich i wielkich zysków. Na prowincyi bardzo często żony urzędników zarabiają dzierzganiem: za metr zapłata wynosi 60 do 70 centymów. Prawo podaży i pokupu czyni, że zapłaty stają się coraz niższe, zwłaszcza tam, gdzie kobiety, przyciśnięte biedą i warunkami domowemi, nie mogą chodzić do pracowni: zręczne robotnice zarabiają tam znacznie więcej. Można tutaj jeszcze raz skonstatować, że wszelkie teorye są niewyczerpujące: niedawno jeszcze za jedynie pomyślne warunki pracy dla kobiety, uznawano zarobek w domu. Tymczasem bliższe wejrzenie w nędzę robotnic, pracujących poza fabryką i poza pracownią, wykazało, że ich zapłata jest wprost śmiesznie nizką, a raczej tragiczną! Nowe określenie powstało „starvation vage" zapłata głodowa! lub „sweating system," wyciśnięcie sił do ostatniej kropli!

Wykazawszy smutny stan pracy w domu, hr. Hansonville przechodzi szereg środków, które mają go poprawić. Sprawą tą zajmują się we Francyi gorliwie; w czasach ostatnich stała się ona kwestyą, będącą na porządku dziennym w Anglii i Australii. W Paryżu znany ze swej rozumnej, społecznej działalności p. Edward Lefebure, prezydent syndykatu tkanin, właściciel wielkiego przedsiębiorstwa koronek, popiera myśl ustanowienia stałej taryfy zapłaty „minimum" wedle różnych warunków miast wielkich, mniejszych i wsi. Te tak zwane taryfy syndykatu, ustanowione przez izby przemysłowe i syndykaty przedsiębiorców, mogłyby skutecznie wpłynąć na unormowanie cen. Drugi system zaradczy, to tworzenie syndykatów robotnic. Ale tutaj nasuwa się trudność porozumienia się między kobietami, należącemi do najróżnorodniejszych klas społecznych, często wstydzących się swej pracy. W Lyonie jednakże — dzięki energii i wytrwałości panny Rochebillard, został utworzony syndykat robotnic pod nazwą: „Federation nationale des syndicats des femmes", który obejmuje wszystkie gałęzie przemysłu krawiectwa i ubrania.

Panna Richebillard, zwracając się do właścicieli firm, doprowadziła do ustanowienia stałej taryfy: „minimum" 1 frank dziennie w miasteczkach i po wsiach, 1 fr. 50 centymów w miastach od 10 do 100 tysięcy mieszkańców, 2 franki w miastach wyżej 100 tysięcy ludności. Ten przykład i te doświadczenia z Lyonu pochodzące, zwróciły uwagę izby paryskiej. Pisemko, będące organem Lyońskiej Federacyi nosi tytuł: „Travail de la femme et de la jeune fille" (Praca kobiety i młodego dziewczęcia) i obznajmia bliżej z tą kwestyą. Wogóle jednak przeprowadzenie idei stowarzyszenia, natrafia na ogromne trudności.

* * *

Świadectwa do ślubu.

W *„The Lancet"* doktor Sprigge drukuje obszerny artykuł, którego dążnością jest ani mniej ani więcej, tylko ograniczenie ilości małżeństw. Powiada on, że ludzkość uzdrowotni się wtedy dopiero, jeżeli żadna para nie będzie dopuszczona do ślubu, dopóki nie przedstawi lekarskiego świadectwa. Wychodząc z tej zasady, że dzieci nałogowych pijaków, idyotów, oraz dotkniętych niektóremi dziedzicznemi chorobami, przychodzić muszą na świat z zarodkiem niechybnej śmierci i wynaturzenia, projektuje on, aby wszystkich kandydatów do stanu małżeńskiego, zanim dopuszczeni zostaną do zawarcia słodkich związków poddawano jak najściślejszemu lekarskiemu badaniu. Jeżeli są zdrowi, niech się żenią, w przeciwnym razie niech pędzą dni w osamotnieniu.

Rada nie nowa; spotykaliśmy się z podobnemi już dawno. I cóż? Ludzie uznawali jej zasadność, kiwali z uznaniem niedwuznacznem dla doradców mądrych głowami, a mimo to żenił się kto chciał i kiedy chciał, powodując się uczuciem lub interesem. Tak i teraz będzie, bo świat nie idzie temi drogami, na jakie chcieliby go wepchnąć doktrynerzy i teoretycy, ale temi, na które go prowadzą nieuchwytne dla rozumu siły i namiętności, wobec których rozum ludzki jest bezwładny.

* * *

Uwagi z notesu kawalera.

Nie da się po prostu spamiętać ani powtórzyć, co kto kiedy powiedział słusznie o kobiecie. Żaden temat nie jest tak obfity, niewyczerpany, wieczny. Każdy mówi coś o kobietach, a najwięcej o kobietach kobiety. Ale mówiąc jedna o drugiej dodaje zaraz, że nie lubi mówić o drugiej. Dlatego mówi o trzeciej, czwartej, dziesiątej.

Za to nie lubi, gdy ktoś ogólnikowo mówi niepochlebnie o kobietach, bardzo zaś lubi, gdy mówi się źle o pewnej szczególnej kobiecie. Szczególnie lubi, gdy się gani tualetę innej kobiety. Czuje się wtedy sama pochlebioną. U niej wszystko należy do tualety: śmiech i kłamstwo, gniew i płacz, omdlenie i spazmy, kłótnia i kokieterya—a nawet mąż. Są bowiem żony, które dobierają sobie męża do wzrostu, albo do sukni. Są żony, które mając kostyumy sinego koloru, podbijają mężowi oczy na sino, aby był garnitur. Tak mówią doświadczeni.

Strasznie lubi kobieta płakać i chce, żeby wtedy cały świat płakał. Płacze, że kocha, lub jest kochana i płacze, że nie kocha, lub nie jest kochana. Płacze, gdy ma złego męża, który się z nią kłóci i płacze, gdy ma dobrego męża, który w żaden sposób nie chce się kłócić. Płacze, gdy straci męża, a jeszcze więcej płacze, gdy straci go za późno.. Płacze, gdy ją mąż zdradza, i płacze, gdy ona zdradza męża, chociaż to drugie wybacza mu prędzej niż to pierwsze. Płacze, gdy przepowiada jakie nieszczęście, i płacze, gdy przekona się, że to nieszczęście nie nadeszło. Płacze, gdy ją kto do czegoś zmusza, a potem płacze, czemu nie dała się zmusić. Płacze, gdy jej kto czegoś odmawia, a potem płacze, czemu jej nie odmówiono. Płacze, gdy ją kto przyłapie na kłamstwie i płacze, gdy ją kto przyłapie na prawdzie. Ona zawsze płacze.

Z tych samych powodów i przy tych samych sposobnościach śmieje się, i to nieraz tak serdecznie, że śmieje się do łez i właściwie nie wie się, czy śmieje się, czy płacze, co zresztą u niej jest wszystko jedno, bo i jedno i drugie należy u niej do tualety.

Kobiety, jak wiadomo, są wymowne nie tylko wtedy, kiedy mówią, ale i w

Zazdrośni.

tych rzadkich chwilach, kiedy milczą. Dlatego słusznie ktoś powiedział, że kobieta nieraz nie mówiąc nic, mówi bardzo wiele, ale jeszcze częściej mówiąc bardzo wiele, nie mówi nic. Kobieta mówiąc nie tyle pamięta o tem, co mówi, ile o tem, jak wygląda. Tylko u kobiety zdarza się ciągle potakujące „nie“ i przeczące „tak“. Tylko kobieta potrafi mówić, choć nikt nie słucha, i słuchać, choć nikt nie mówi.

I ma dziwną zręczność przechodzenia z tematu na temat, jak nikt inny potrafi, gdy wyrwie się z niepotrzebną prawdą, zręcznie się z niej wyłgać, a złapana na niezręcznej bladze umie ją zaraz naprawić inną blagą.

Mówi tak samo płynnie o sztuce i kucharkach, lubi bardzo drugich przekonywać i bardzo się gniewa, gdy kogoś przekonać nie może o tem, w co sama nie wierzy.



L. Sowiński.

Do młodziutkiej dziewicy.

O! kwiatku rodzinnej niwy!
Co też ci wróży
Ta piękność stulistnej róży?
Ten uśmiech cudny, te modre oczy,
Wdzięk niepochwytny, uśmiech uroczy,
Umysł wrażliwy?...
Czy świat oceni
Ten snop promieni,
Który mu serce twe ofiaruje?
Czy twe rojenia złote odczuje,
Czy też wyśmieje — i duszę tobie
Zatruje?...
O! śliczna polska dziewico!
Czyś w czarnych dumek żałobie,
W sierocych łez majestacie,
Czy w jasnej wesela szacie, —
Zawsze się tobą zachwycą
Duchy świetlane, czyste a smutne,
Serca do wzniosłych poświęceń rzutne,
Ci, którym w życia zamieci
Dobro powszechne, jak gwiazda, świeci
I jeszcze jedni...
Szaleńcy biedni —
Poeci...

Żywot mieć nie jest być żywym, ale być zdrowym.

Paradoksa Koronne (z Marcyala).

* * *

Pospolita jest widzieć takich, którzy umieją wydać bitwę, ale bardzo mało takich, którzyby wojować umieli.

Antoni Wiśniewski (z Monteskiusza.)

Pamiętniki Lady Cardigan.

Dawno już żadna książka nie wywołała w Anglii zaciekawienia tak powszechnego, jak wydane świeżo w Londynie pamiętniki lady Cardigan, drugiej żony słynnego dowódcy szarży konnicy angielskiej pod Bałakławą, uwiecznionej przez Tennysona.

Wydanie za wydaniem sensacyjnej tej książki rozchodzi się wśród publiczności angielskiej i to tak szybko, że nakładcy zaledwie mogą nastarczyć zapotrzebowaniom, treść zaś jej zajęła tak cały Londyn, ba, całą Anglię, że utworzyły się dwa obozy: pro i antykardyganitów, a na ulicach, w teatrach i na zebraniach towarzyskich, pamiętniki lady Cardigan stanowią temat sporów ożywionych.

Po książce, któraby wywołała równe wzburzenie umysłów w Anglii, należałoby się cofnąć do 1825 r., kiedy to musiano zamykać baryerami ulicę Haymarket, aby utrzymać w karbach tłumy, cisnące się do księgarni nakładcy Stockdala, po wydane wówczas pamiętniki Henriety Wilson.

Burzę obecną wywołała przedewszystkiem szczerość 84 letniej autorki, opowiadającej, pomimo tak sędziwego wieku, z żywością młodzieńczą, sprawki zakulisowe towarzystwa angielskiego, oraz skandaliki, tyczące się osób. A ponieważ od czasów niepamiętnych miły tłumek z radością wita usuwanie zasłony z życia osób wysoko postawionych — nie dziw tedy, że wynurzenia lady Cardigan sprawiły masom radość wielką.

Poza tem jednak, wynurzenia te posiadają też wartość literacką i kulturalną. Co do pierwszego, to śmiało powiedzieć można, że pani ta, z czasów królowej Wiktoryi, bynajmniej nie ustępuje pod względem zabawnego sposobu pisania i uszczypliwości wytwornej, koleżankom swym z wieku XVIII. — co zaś do wartości kulturalnej, to znaczenie pamiętników doniosłe jest pod tym względem, że głęboko wstrząsa przekonaniem, panującem dotychczas, jakoby towarzystwo angielskie drugiej połowy wieku dziewiętnastego, odznaczało się filisterstwem dychawicznem.

Na sypiące się zewsząd zarzuty fałszywego przedstawienia stanu rzeczy, autorka odpowiada energicznie: „Nie miałam zamiaru pisać książki o cnotach i elegancyi czasów ówczesnych, ani także dać poglądu historycznego na okres ówczesny. Dążeniem mojem jedynem było przedstawienie faktów, rzucających światło na epokę ową — jeżeli zaś nikt nie odważył się przedemną uczynić tego, to nie moja w tem wina. W pamiętnikach moich niema ani jednego kłamstwa. Każde słowo w nich zawiera prawdę, prawda zaś — obawiam się — nie zawsze bywa przyjemna.“

Zaciekawienie przez książkę rzeczoną wzbudzone, może usprawiedliwi najlepej kilka z niej ustępów, ilustrujących jaskrawo odwagę cywilną autorki.

Słynny angielski mąż stanu, — lord Disraeli, hr. Beaconsfield, — oświadczył się był niegdyś o jej rękę.

„Poranku tego — pisze lady Cardigan, — byłam niezmiernie wzruszona, Disraeli bowiem oświadczył mi się właśnie. Wuj mój, admirał Rous, powiedział na to:

— Moja kochana, nie możesz wyjść za tego przeklętego starego żyda.

Ja jednak znałam Disraelego od młodości i znosiłabym go chętnie. Jedno tylko, prawdę powiedziawszy, odstręczało mnie od niego, — mianowicie oddech jego — woń nieprzyjemna, którą trąci też prawdopodobnie cała polityka. W starożytnym Rzymie żona miała prawo rozwieść się z mężem, jeżeli z ust mu było czuć. Gdyby Dizzy żył w czasach owych, to żona jego otrzymałaby rozwód z łatwością.“

W końcu, pod wpływem namów króla, odradzającego jej silnie tego związku, lady Cardigan zerwała z Disraelim.

Mniej rozweselającem, a nawet prawie okrutnem, jest opowiadanie autorki o śmierci lady Konstancyi Ward z domu Burgh, słynnej swego czasu piękności.

„Wieczorem, który poprzedzał dzień pogrzebu, lord Colville przybył w odwiedziny do lorda Warda. Przez czas pewien rozmawiali z sobą, gdy nagle wdowiec zwrócił się do przyjaciela z pytaniem:

— Słuchaj, Colville, uwielbiałeś żonę moją?

— Tak — odparł spokojnie Colville.

— A więc chodź i przypatrz jej się po raz ostatni.

Przy słowach tych lord Ward zapalił świecę i poprowadził przyjaciela na górę.

Pokój, w którym leżała nieboszczka, pogrążony był w mroku, chwiejne światło świecy padło na piękną twarz zmarłej.

Milcząc stanął lord Colville przy zwłokach i serce ścisnęło mu się bólem, gdy pomyślał o losie tej piękności.

Ward przyglądał mu się uważnie.

— Jak widzę — odezwał się w końcu — uwielbiasz ją jeszcze. Boć też była kobieta istotnie piękną... Nie uwierzysz jednak, co za brzydkie posiadała zęby.

Przy słowach tych postawił na stole świecę, uniósł z poduszki głowę żony nieboszczki i z zimną krwią, wolno, rozwarł jej szczęki.

— Zawsze mówiłem ci — rzekł — że brzydkie miała zęby, możesz teraz przyjrzeć się im, człowieku.

Lecz lord Colville uciekł szybko z pokoju. Opowiadał mi następnie, że nie widział nic straszniejszego w życiu swojem.“

Dwa obrazki powyższe stanowią chyba próbę dosadną realizmu, z jakim lady Cardigan traktuje życie zakulisowe sfer najwyższych arystokracyi angielskiej, nie dziw też, że pamiętniki jej wywołały z jednej strony oburzenie, z drugiej zaś ciekawość ogromną.

Z dziedziny hygieny.

Jak się zachować w porze obecnej?

Zimne nogi — oto znamię obecnej pory. Jest to stan nietylko nader przykry i dokuczliwy, ale mogący wywołać takie poważne choroby, jak: katar nosa, lub oskrzeli, reumatyzm i t. p. Niestety, pod względem pielęgnowania i czystości stoją nogi zwykle na ostatniem miejscu ze wszystkich części ciała. Czyż myjemy je codziennie podobnie jak ręce? Zaniedbujemy je przeważnie z tej prostej a marnej przyczyny, że tak rzadko ukazujemy je nago — zakrywając je pończochami i skórzanym pancerzem, zwanym butem. Należyte pielęgnowanie nóg ma ogromne znaczenie dla zdrowia naszego. W stopach bowiem wytwarza się dużo elektryczności, przenikającej i ogrzewającej cały ustrój. Przy ziębnących stopach gubimy to źródło ogrzewania. A zatem utrzymywać nogi w drobnostkowej czystości: conajmniej dwa razy na tydzień wziąć ciepłą kąpiel nożną przez ćwierć godziny, przyczem stopy i dołki podkostkowe wyciera się mydłem pumeksowem; natychmiast po kąpieli opłukać nogi w chłodnej wodzie, zanurzyć znowu w ciepłej i wytrzeć na sucho aż do zaczerwienienia się skóry. Prócz tego codzień wieczór przed ułożeniem się wytrzeć nogi ręcznikiem i rękoma także pomiędzy palcami. W razie łat-

wego pocenia się, zakłada się zwitki waty pomiędzy palce. Z rana, po wyjściu z łóżka, nogi są zwykle ciepłe; można zatem stopy zanurzyć na kilka sekund w chłodnej wodzie, a następnie energicznie rozcierać aż do zaczerwienienia. W końcu można nogi zawinąć jedwabnemi onuczkami (paski jedwabne około 75 cm. długie i 25 cm. szerokie, na które się wciąga pończochy wełniane). Rozumie się, że zamiast onuczek można wziąć jedwabne pończochy. Jedwab znakomicie izoluje nogi, podtrzymując wywiężującą się w ciele elektryczność. Przedewszystkiem trzeba się wystrzegać zimna nóg skutkiem przemoczenia; wiadomo bowiem, że wilgoć jest bardzo dzielnym przewodnikiem elektryczności. Pończochy należy zmieniać często wedle potrzeby, zwłaszcza po każdem wychodzeniu, a nawet 2—3 razy dziennie. Zdjęte pończochy zawiesza się przy ciepłym piecu. Nader ważnym czynnikiem dla zagrzania nóg jest należyty ruch na świeżem powietrzu. Najskuteczniejsze tu są wycieczki w góry; powolne zaś chodzenie na spacer nie ma wielkiego znaczenia.

Gdy ciało jest zziębnięte, wydechnij powoli wszelkie powietrze z płuc podobnie w ten sposób, jak się to dzieje podczas śpiewu. Następnie wdechnij powietrze przez nos. W razie, gdy powietrze jest zbyt zimne lub zakurzone, można do ust i do nosa przyłożyć chusteczkę. Wydychanie może trwać 5 razy tak długo, jak wdychanie powietrza.

O świeże i czyste powietrze w pokojach, a szczególnie w sypialni trzeba dbać bezustannie, a więc i w zimie. Wystarcza tu otwarcie okna na kilka minut.



Katar.

(Z teki satyryka).

Jestem pewien, że każdy po przeczytaniu tego napisu, powie sobie: wiem, znam go bardzo dobrze, albo: właśnie go mam, albo: dopiero co pozbyłem się go. . . Więc dobrze, że każdy go zna i że niema potrzeby opisywać go, niby jakąś nową chorobę afrykańską podług objawów i skutków. Katar istnieje odtąd, odkąd istnieją nosy ludzkie i jest przypadłością tak powszechną, epidemiczną, jak długi, żeniaczka i gramofon. Jest epidemią nie wygasającą nigdy, a głównym jej sezonem jest jesień i wiosna, także zima i lato. Ludzie witając się na ulicy opowiadają sobie przedewszystkiem, że mają katar.

— Co słychać nowego?

— Nic, mam katar.

— Ja go mam także, kto go nie ma? A czemuż pan nie uważa na siebie?

I rozchodzą się. Jest więc katar zawsze nowością i nigdy nie wychodzi z mody. Nawet u pań, u których przecież wszystko wychodzi z mody, fryzura, mąż, suknia, buciki — jedyny katar jest zawsze modny, zawsze ten sam, w tem samem miejscu, o tych samych objawach i sile. A trzeba pamiętać, że u kobiet jest katar szkodnikiem o wiele przykrzejszym, bo sprawia, że nosek damski przybiera podejrzany kolor czerwony i zmusza jego właścicielkę do pozostania w domu przez czas dłuższy, ażeby jej ludzie nie posądzali n. p. o nadużywanie alkoholów.

Katar jest figlarzem. Zjawia się niespodziewanie połaskotawszy wprzód nos, jakoby się chciał przekonać, czy jest dlań dość miejsca, a zaraz potem wprowadza się z całą świtą swoich objawów. Jest gościem niepożądanym i nieoczekiwanym, którego jednak musi się przyjąć i nie można go się pozbyć. Im więcej go się wypędza, tem dłużej zostaje, a ze wszystkich środków lekarskich śmieje się, bo one mu tylko dobrze robią, przedłużając jego pobyt. Bywa przytem skromny, bo choć sam olbrzymi, wybiera sobie nieraz drobny nosek i czuje się w nim wcale dobrze. Figlarność jego występuje przy ważnych okazyach. Gdy panna oczekuje konkurenta tentującego o jej rękę, i stara się dobrze wyglądać, być uśmiechniętą i mieć miły srebrzysty głosik, któryby zagłuszył kwestyę posagową, wtedy zjawia się u niej jeszcze przed konkurentem katar i sprawia, że ona zmuszona jest przyjąć konkurenta ze łzami w oczach, z noskiem czerwonym i głosem ochrypłym zagłuszającym jej wdzięki. W teatrze święci katar orgie. Kiedy na scenie pojawiają się ważne siły, punkt kulminacyjny akcyi, albo dobra śpiewaczka, wtedy ze wszystkich zakątków całej widowni idzie trąbienie za trąbieniem, wyprowadzając z równowagi sąsiadów, nawet zakatarzonych, suflera, artystów, muzykę i inspekcyę policyi ,która w tym wypadku jest także bezradna, bo zakatarzona. Nawiedza artystę lub śpiewaka, który pragnie popisać się świeżym i dźwięcznym organem głosowym i zatyka mu nos, jak korkiem, rabując mu najważniejsze głoski i robiąc z niego kalekę z zakładu głuchoniemych.

Bywa jednak katar i dobroczyńcą. Jemu zawdzięczamy, że w teatrze słyszeliśmy kiepską sztukę tylko w połowie, że nie denerwowaliśmy się zdartym gołsem śpiewaczki lub śpiewaka, że nie wybraliśmy się na nudną wizytę, że wolno nam nie całować się na przywitanie ze starą ciotką lub takąż narzeczoną, że można o nim napisać artykuł, kiedy się nie ma chwilowo innego tematu z powodu kataru.

Dobrą stroną kataru jest także to, że nie zna różnicy stanów i z tą samą pilnością odwiedza arystokratów, co plebejów. A znalazłszy się raz w jakiejś rodzinie, każdemu z jej członków składa osobno swoje uszanowanie. Kto go się pozbywa, tak się cieszy. jakby się go pozbył raz na zawsze, a tymczasem katar, pożegnawszy ostatniego członka rodziny już wraca do pierwszego, drugiego i wywołuje całkiem nowe familijne kichanie.

Bo katar jest jak dobry przyjaciel. Nie opuszcza człowieka na stałe, a gdy się nawet na jakiś czas wydali, wraca szybciej niż go się spodziewamy. wyciska nam łzy i zabija głowę. Pod tym względem jest podobny do miłości, tylko jest trochę szczerszy, bo nigdy nie fałszowany.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 23-go stycznia 1227 założenie klasztoru Dominikonów w Gdańsku. — 1440 Węgrzy zapraszają na tron Władysława III. — 1510 Bogdan, wojewoda Mułtan, zapewnia Polakom wolny handel w Besarabii. — 1649 Jan Kazimierz potwierdza prawa koronne. — 1824 Onacewicz wyświeca publicznie łotrostwa Nowosilcowa.

Dnia 24-go stycznia 1496 nadanie niektórych ziem Konradowi, księciu mazowieckiemu. — 1507 koronacya Zygmunta I. — 1667 sejm odrzuca wniosek o obranie królem księcia Kondeusza. — 1668 ostatni sejm za panowania Jana Kazimierza. — 1706 bitwa ze Szwedami pod Grodnem.

Dnia 25-go stycznia 1548 poselstwo pruskie na sejmie w Piotrkowie. — 1588 zniesienie i wzięcie do niewoli Maksymiliana. — 1610 pobicie Moskwy pod Ulą. — 1684 śmierć hetmana Jana Ogińskiego. — 1831 detronizacya Mikołaja.

Dnia 26-go stycznia 1517 bitwa z Tatarami pod Kaniowem. — 1567 pobicie Moskwy na polach czaśnickich. — 1699 pokój karłowicki z Turkami.

Dnia 27-go stycznia 1510 pożar salin w Wieliczce. — 1736 Leszczyński zrzeka się praw do tronu polskiego. — 1792 sejm w Warszawie gromi nadu-

życia magnatów. — 1832 wymordowanie w Fischau bezbronnych Polaków.

Dnia 28-go stycznia 1568 wzięcie i spalenie Wielisza. — 1573 konfederacya w Warszawie po śmierci Zygmunta Augusta. — 1831 utworzenie w Paryżu komitetu dla sprawy polskiej.

Dnia 29-go stycznia 1479 śmierć Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego. — 1583 uniwersał Stefana Batorego urządzający poczty.

Humor i satyra.

Bieda.

Idzie sobie babuleńka,
To płacze, to stęka,
To jęk z piersi wyda.
Zebrała się wnet gromada
„Ktoś ty babciu?“ Każdy bada
A ta rzecze: „Bieda.“

„Ledwie wlokę stare kroki —
„Bom ci przeszła świat szeroki
„Niemców i Francuzów!
„Niegościnne te psiewiary
„Jeść nie dały babie starej,
„Jeno sporo guzów!

„A gdy proszę zmiłowania —
„Każdy srogą pięść odsłania —
„Gna precz ze swych szlaków,
„Więc przez chłosty i ulewy,
„Przywlekłam się, moiściewy,
„Do braci — Polaków.

Inszy ludek w tej krainie
Ulitował się babinie
I nie wyszczuł psami.
„Naści stara, kiej cię boli —
Plastr na guzy, chleba, soli.
I pozostań z nami.“

Zamieszkała więc babula
I po miastach hula, hula!
Lub nawiedza kmiotka,
Z grzbietu zdziera mu koszulę,
Albo po łbie i szkatule.
Grzmoci kogo spotka.

Zgniewała się rzesza zbita:
„Idź precz, wiedźmo, łez nie syta,
Do innego kraju!“
Zaśmiała się w odpowiedzi —
Oni krzyczą — ona siedzi:
— „Kiej mi tu jak w raju!

„Dobrzy ludzie tu się rodzą:
„Wszyscy wzajem sobie szkodzą!
„Mazgaj przy mazgaju,
„Polubiłam polską grzędę
„I tu sobie mieszkać będę,
„Jak w raju, jak w raju!“

Tak ci mówi — oni w skargi,
Potem w radę, potem w targi,
Aż się łeb zapoci —
Drą się, drą się, — a babula
Jak hulała, tak se hula
I Polaków grzmoci!

* * *

Zadowolona z tego co ma.

Scena w szkole.

— Ile będzie, — pyta przełożona pensyi, siedmioletniej dziewczynki, — jeśli dodasz trzy do czterech.

Dziewczynka milczy.

— Uważaj dobrze moje dziecko. Tatuś dał ci trzy pierniki, a mama dodała ci do nich cztery, ile będziesz ich razem miała?

— Dosyś, proszę pani, bo ja pierników nie bardzo lubię.

ZAGADKA.

Ułożył czytelnik naszego pisma p. Kazimierz Kubowicz z Poznania.

Środkowa linia pozioma i środkowa linia pionowa dadzą imię i nazwisko naszego współczesnego znakomitego poety, który się urodził w Wielkopolsce.

```
                  +
                . + .
              . . + . .
            . . . + . . .
          . . . . + . . . .
        . . . . . + . . . . .
+ + + + + + + + + + + + +
        . . . . . + . . . . .
          . . . . + . . . .
            . . . + . . .
              . . + . .
                . + .
                  +
```

1) spółgłoska,
2) ptak,
3) gra towarzystwa,
4) jarzyna,
5) imię żeńskie,
6) religia, którą wyznają Rosyanie,
7) ?
8) instrument muzyczny,
9) utwór Słowackiego,
10) rzemieślnik,
11) zakonnik,
12) wykrzyknik,
13) spółgłoska.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 27-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w nr. 1-szym:

36	6	24	16	18	26	126
6	36	16	24	:6	18	126
24	18	36	26	16	6	126
16	26	18	36	6	24	126
18	24	26	6	3o	16	126
?6	16	6	18	24	36	126
126	126	126	126	126	126	

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 6-go b. m. włącznie:

Z Poznania: pp. Edmund Ruciński, Michał Gaerstedt, Mieczysław i Sylwester Matuszewscy, Rozalia Pałczyńska, L. Wieruszewska, Fr. Urbaniak, Kazimierz Kubowicz, Janina Mrówczyńska, T. Pospieszalska, Teodor Menclewski, Ludwik Mańczak.

Z prowincyi: pp. Marya Olek z Wrześni, Władysław Nowacki z Trzemeszna, Adam Chylewski z Inowrocławia, Władysław Nowak z Gołańczy, A. Goderski z Strzelna, Stanisław Gogulski z Borku, J. Czabański z Zaniemyśla, Wiktor Kucharski z Ostrowa, Czesław i Izabela Kopczyńscy e Pakości, M. Tuszewska z Wolsztyna, Magdalena Kąkol z Barchlina, Władysław Cierniak z Granówka, Zofia Kurnatowska z Mełpina, Antoni Kurtz z Sowińca, Stefan Ochocki z Główny, Józef Mrówczyński z Zaborowa, Tomasz Nowak z Bodzewka, Jadwiga Harwart z Małych Mierkowic, Józef Grygiel z Koernersfelde.

Z Prus Zachodnich: pp. Kazimierz i Stanisława Balcerscy z Wąbrzeźna, Leokadya Buchholz z Pr. Starogardu, D. Arczyński z Polskiego Cekcyna, Franciszek Winzewski ze Srebrnik, Józef Polaszewski z Grzybna, Józef Żurek ze Skąpego.

Ze Śląska: pp. Bolesława Gąsiorowska z Wrocławia, Walenty Szkoda i Matylda Knopik z Zabrza, Józef Kałdonek z Szarleju, Berta Badura z Roździenia, Zofia Stiasnówna z Cieszyna (Śląsk austryacki), Eugenia Malinowska z Jabłonkowa (Śląsk austryacki).

Z Galicyi: p. Karol Dębowski z Wieliczki.

Z obczyzny: pp. Stnisław Bartoszewski z Hamburga, Fr. Toczkowski z Gelsenkirchen, Stanisław Kamiński z Blumenthalu (Hannower), Stanisław Nowacki z Herne, Jan Przybylski z Riemke, Jan Mazurek z Wetter — R., W. Konieczka z Dortmundu, J. Wasiela z Arnsberga, Wanda Karaśkiewicz z Bitterfeldu, Tomasz Michalak z Sodingen.

Nagrodę otrzymali: pp. L. Wieruszewska z Poznania, Władysław Cierniak z Granówka i Tomasz Michalak z Sodingen.

3)

Zaręczyny panny Feli.

Napisała **E... B...**

(Ciąg dalszy).

— Proszę, jaka mi sędzina! znaczy, że nie pozwalam i kwita. Ot, czegom się dochował, rodzona córka pyta mnie — i potok słów wypłynął z ust rozgniewanego ojca.

Słowa te nie były komplementami dla córki. Fela wytrzymała całą burzę, zobaczyła na stole brudne papierki, na nich cyfry rzymskie i żydowskie pismo, a że wiedziała o misyi Moszka, domyśliła się wszystkiego.

— Moszko tu piwa nawarzył — rzekła niechętnie.

— Nie Moszko, ale Mioski.

— Cóż, długi są?

— Zgra się do koszuli i będziesz w palce dmuchać.

— O to, a ja od czego, raz nie podpiszę wekslu, grosza nie dam i koniec całemu utracyuszostwu!

— Zuch dziewka — z dumą wykrzyknął stary, lecz po chwili dodał — to pogróżki, nie jedna taka tęga przepadła, a ja nie chcę, żebyś i ty, i moje pieniądze przepadały.

— Nie przepadną ojcze — rzekła córka z lekką pieszczotą w głosie. Znała ona władzę swą nad ojcem, wiedziała, że ten twardy i niemiłosierny człowiek przed nią miękł, jak wosk. Lecz dotąd fantazye jej najkosztowniejsze nawet narażać mogły ojca na wielkie wydatki, ale nie na ruinę, Głocki zaś czuł, że gdy go nie będzie, a córka odziedziczy cały majątek, Mioski wszystko może stracić, nie chciał więc, aby praca całego życia tak szybko ginęła.

Fela o tem nie pomyślała, i miała nadzieję, że się tak stanie, jak ona zechce, lecz właśnie sama nie wiedziała, czego zechce. Zamyślona przeglądała papierki, podsumowywała cyfry. Ojciec patrzył na nią, raptem przyszła mu myśl, której się sam przestraszył.

— Felciu, powiedz prawdę, ty się w nim kochasz? — zapytał trwożnie.

— Hm, mam pociąg do niego, lecz tak szalenie nie...

— Tak, jak to mówią, że choćby w chacie, byle z nim.

— Brr... chatka to moja antypatya.

— A jednak ja z niej wyszedłem — westchnął ojciec.

— Właśnie dla tego nie chcę do niej wracać — zdecydowanym tonem odparła panna — lecz rachujmy wiele długów, 300,000?

— Tak.

— Majątek wart?

— Najwyżej 270,000.

— Deficyt, ależ jest matka.

— Zadłużona wyżej uszu przez synalka.

— To jest: stracę 30,000. Majątek piękny weźmiemy w zakładne, ojciec będzie administrować, to się wartość podniesie, zresztą płacę za honor; decyduję się, widocznie mam do niego pociąg bardzo silny.

— Felciu upamiętaj się.

— Niechże ojciec pomyśli, kto o mnie z porządnych ludzi się starał. Mam lat 23, jeżdżę zagranicę i po kraju, i cóż ztąd? wiedzą, żem bogata, a konkurenci byli tacy, na których i patrzeć nie warto, na świecie przecie prócz pieniędzy trzeba mieć i pozycyę.

— Pozycya, to pieniądze.

— O bardzo przepraszam. Ojciec bogaty, a przecie nie ma pozycyi takiej, jak n. p. Mioscy, choć w długach... albo co ta mama wyrabia, gada niestworzone rzeczy i ubrała się jak pawica!

— Pawica nie pawica, to twoja matka nie krytykuj jej.

— To także! cóż to szkodzi, kiedy mama sama się taka śmieszna robi. Tylko proszę popatrzeć na mamę i na panią Mioskę.

— Bo twoja matka i ja w biedzie wyrośliśmy, nam już ciężko przerobić się na panów, ale ty jesteś paniątko całą gębą.

— Właśnie dla tego, dla moich zdolności potrzeba mi odpowiedniego stanowiska w świecie, a to stanowisko może mi dać ze wszystkich moich konkurentów jeden tylko Henryk.

Pan Głocki chodził, myślał, rachował. W przeciągu ośmiu lat Mioski na czystym zupełnie majątku zrobił 300,000 długów, nie licząc zrujnowanej fortuny matki, to było straszne — utracyusz — słowo to stanowiło wyrok.

— Ojcze trzeba wyjść już i tak bardzo niegrzecznie.

— Jeszcze będzie niegrzeczniej, bo ja nie dam przyzwolenia na to głupie małżeństwo; rób, jak chcesz, a ja grosza nie dam — zawołał nagle.

Fela skamieniała. Ojciec w chwili, gdy pewną była zwycięztwa, raptem taki wyrok ferował, a tak twardo i ostro, że trudno było myśleć, aby się cofnął, chwyciła się więc broni wszystkich postępowych i niepostępowych kobiet i uderzyła w płacz.

— Felciu, dziecko moje, ja tobie pięciu książąt wynajdę za niego jednego — rzucił się do niej wzruszony jej łzami ojciec, lecz córka odrzuciła rękę ojcowską i cicha i zrozpaczona wyszła.

— Dyabli nadali, pójdę i przepędzę łotrów, powiem im verba veritatis, niech nie przyjeżdżają uczciwych ludzi obdzierać — naciągnął surdut, plunął w dłoń i tą niekosztowną pomadą, przygładził włosy, szarpnął parę razy wąsy i zabrał się do wyjścia zły i chmurny; lecz się pomiarkował. — Po grubiańsku nie można, ja teraz pan, nie prostak, po pańsku ozłocę pigułkę, a harbuza dam; ho, ho! niech świat wie, jakiego dam — i przybrawszy wyraz twarzy wesoły i serdeczny, wyszedł do salonu.

Tam ściskał kochanego pana Henryka, całował rączki szanownej pani dobrodziejki, submitował się, że tak się spóźnił; lecz jak człowiek ma wielki majątek, to i wielkie obowiązki — mówił, nadymając się, — i głupi, ten co myśli, że z fortuną swoboda. Ja znam się na tem, bo powstałem z dziesięciu chłopów, więc wiem, że im więcej w las, tem więcej drzew. Teraz człowiek ma nawał interesów na głowie, a dawniej swobodniejszy był, choć sam za pługiem chodził.

Całą tę perorę palnął dla tego, aby się pochwalić, że się sam majątku dorobił, to było jego chlubą i dumą, na to konto często zdarzało mu się pleść niestworzone rzeczy, co

powtórzywszy dwa razy, za prawdę miał. Pani z duszą arystokratki, jak mawiała, nie lubiła tych wspomnień przeszłości, a na wzmiankę o pługu, spuściła skromnie oczy i cała w pąsach zawołała:

— Janûre, ach Janûre (p. Głocki miał imię January, co po francusku wymawiało się Janûre) ty zawsze lubisz żartować.

— A śliczne żarty, jak Pana Boga kocham, prawda, święta prawda pani dobrodziejko, jeszcze tatko nieboszczyk bywało bizunem walił, ot i jak zaczął walić tak i człowieka zrobił.

— Janûre, mon ami! — Francusczyzna pani kończyła się na wyrazach: Janûre, mon ami, Felée, mon enfant i kilka jeszcze, jak bonjour, bonjour, oui, non i t. p., a te starała się, jak najstosowniej rozmieścić. Janûre, mon ami — powtarzała z niemą prośbą w głosie.

Pani Mioska wspaniała, uśmiechała się łagodnie i do męża i do żony, odpowiadając monosylabami: tak... o... o...

— To śmieszna kobieta, proszę panią dobrodziejkę, ta moja żona; wstydzi się swego pochodzenia, a ja się niem szczycę — nadął się i odchrząknął — lepiej dorobić się, jak stracić.

— O zapewne, lecz nie zawsze utrata majątku jest poniżeniem, częściej nieszczęściem — odparła pani Mioska trochę żywo.

Głocki uśmiechnął się, poczciwiec uczuł, że dotknął żywej rany.

— Tak, tak, ale dorobić się, taki jest czem się pochwalić, nie łatwa rzecz, nie łatwa, co ja przeszedłem!..... Zacząłem od piętnastu wołów, które kupiłem za bezcen od zrujnowanego pana, a potem czegom ja nie kupował!... Wieprze sam pędziłem do stolicy, a pamiętam, że mi raz o mało skóry nie wygarbowali za moję chudobę. Nocowałem na polu, było nas trzech, a wieprzy dużo, sprytne bestye dowiedziały się, że kartofle niedaleko, z piętnastu zabrało się i nuż ryć, obżarły się, ot takie grube, przyszły; na nieszczęście łanowy z dwoma chłopami nadjechał, aj! źle do mnie się biorą, teraz jeszcze cierpnę, choć mi już nic na tem nie zależy; daję pani dobrodziejce słowo nie puszczałem ich tam, no ale same polazły; przyjechał i ekonom, straszna awantura, ekonom powiedział mnie głupstwo z przeproszeniem pani, ja jemu, ekonom krzyknął: rozciągnąć go, ja krzyknąłem: niedoczekanie twoje, rzucił świnie, przepraszam za słowo, i do dworu. Pan jakiś dobry pożałował i puścił, alem się naprosił! a to za te wieprzyska człowiek byłby od razu zgubiony, gdyby się przyszło opłacać.

— Janûre, ty wymyślasz takie historye umyślnie, żebym się płoniła.

— Z zapłonieniem pani do twarzy — wtrącił pan Henryk.

— Komplemencista!

— Nie płoń się, nie płoń, a przyznaj, jak krowy sama doiłaś.

— Ja nigdy, ja mam taką obrzydliwość w charakterze, jabym zaraz zemdlała.

— Praca każda uszlachetnia — sentymentalnie wyrzekła pani Mioska, i ona także miała wielką „obrzydliwość w charakterze“ do towarzystwa ludzi, jakich dotąd nie znała, ale ci ludzie byli bogaci bardzo, a p. Henryk ostatkami gonił.

Na sentencyę pani Mioskiej, pani Głocka odparła z godnością:

— I ja też pracuję tak, jak Bóg mojej familii naznaczył, bo ja jestem z arystokracyi, moja familia znana wszędzie.

— O bezwątpienia — z pospiechem zawołała matka p. Henryka, nie wiedząc nawet, jak pani Głocka z domu. — Głoccy też zajmują bardzo zaszczytne miejsce w herbarzu!

— Ach w herbarzu — westchnęła pani domu — w herbarzu to tam mój pradziadek pochowany.

Fela, która w trakcie tej rozmowy weszła, rzuciła się gniewnie:

— Co mama mówi, ach Boże mój!

— Tak Felée mon entfant, jest to miasteczko w Polsce, pochowany tam mój pradziadek macierzyński — odparła matka uroczyście.

— Czy ten, co zginął pod Niesieckim — seryo spytał Henryk.

— A ten, był kasztelanem i wojewodą.

Pani Mioska dostała gwałtownego kaszlu. Fela położyła się na fotelu, śmiejąc się na całe gardło.

— Niemiłosierny panie Henryku, tak się nie godzi! — lecz głośny śmiech jej nie mniej przeto był kwaśny.

Nie chcę nudzić czytelników opisem potraw i całego szyku, z jakim wszystko podane było. Pan Brzózki kamerdyner, wiedział, jak być powinno, zatem obiad był dobry i obfity, choć pani Głocka utrzymywała, że u panów powinno być jedzenie tylko na rozkaz, bo osoby delikatne, jak ona naprzykład, jedzą jak ptaszki, a nawet zapachem potraw się nasycają.

Brzózki z wielką emfazą odparł:

— Proszę jaśnie pani, to się dzieje familiami, ja znam wszystkie pańskie familie, i wiem, że hrabiowie Mioscy mają dobre apetyty.

— A kiedy tak, to co innego; mówi Brzózki, że hr. Mioscy mają dobry apetyt?... a tak, wiem o tem.

— Hrabiowie Mioscy wszyscy lubią jeść, a hr. Henryk w szczególności — dodał z naciskiem kamerdyner.

— Hrabiowie Mioscy, hrabia Henryk — jak echo powtórzyła pani Głocka, i pytające spojrzenie zwróciła na Brzózkiego, nie śmiała go zapytać, dla czego daje im tytuł, którego tamci nie noszą, choć ją ciekawość paliła, bo bała się wydać ze swą nieświadomością.

— Ci hrabiowie Mioscy tacy dumni, nie chcą się tytułować, bo jest dużo hrabiów nie wielkich panów — odpowiedział na nieme zapytanie kamerdyner, historyjką swego wymysłu. — Oni więc nie chcą się z takimi mieszać, ale ja, co znam wszystką arystokracyę, wiem, że są prawdziwymi hrabiami.

— Niech Brzózki pewny będzie, że o tem wszyscy wiedzą — z godnością odparła pani, i zamknęła starannie na klucz apteczkę, gdzie ta rozmowa miała miejsce, gdy Głocki zawołał żonę, by jej szepnąć o złym stanie interesów Mioskich. Pani Głocka ręce załamała.

— Nieszczęście! ty wiesz, co to za partya, oni są hrabiami!

— Co znowu?

— Tak, Brzózki to wie na pewno, z dumy nie chcą się tytułować, bo jest dużo hrabiów samozwańców.

— Dyabli biorą tytuły, kiedy hołysze i utracyusze; proszę-no tylko nie bardzo się zapędzać, a jak ci się matka oświadczy, do mnie odesłać; to zły interes, dam jej takiego nosa — dokończył wyrazistym gestem.

— Ah duszko, pomyśl-no, toż to Felcia byłaby hrabiną, a to arystokracya.

— Głupiaś z arystokracyą! — i na tem skończyła się rozmowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

To też z wielkiem zajęciem i obawą czytano biuletyny o zdrowiu Izydora, publikowane przez dwóch lekarzy z Dieppe, którym pan de Gesvres powierzył opiekę nad rannym. Niektórych ogarniała rozpacz w pierwszych dniach, gdyż stan chorego był groźny i nierokujący powrotu do zdrowia! Lecz cóż za radość, gdy pewnego dnia, dzienniki doniosły, że niebezpieczeństwo minęło! Publiczność interesowała się każdym szczegółem. Rozczulała się, na wieść, że był pielęgnowany przez starego ojca, a podziwiała poświęcenie panny de Gesvres, która noce przesiedziała u wezgłowia rannego.

Potem nastąpiła rekonwalescencya. Chory przychodził szybko do zdrowia i sił. A więc dowiedzą się nareszcie wszyscy, co Beautrelet przyrzekł panu Filleul wyjawić, dowiedzą się tych słów ostatecznych, które przerwał nóż złoczyńcy.

Po wyzdrowieniu Izydora Beautrelet, dowiedzą się może coś więcej o tajemniczym wspólniku panu Harlingtonie, który dotychczas siedział w więzieniu. Może będzie umiał powiedzieć, co się stało z sekretarzem Brédoux, którego śmiałość była przerażającą.

Beautrelet będzie może mógł objaśnić, w jaki sposób wykonano dwa napady na Ganimard'a i Sherlocka Holmesa. Żaden z detektywów angielskich i francuskich nie mógł wpaść na najmniejszy ślad. W pierwsze święto Zielonych Świątek Ganimard nie wrócił do domu, gdzie od sześciu tygodni się nie pokazał.

W Londynie zaś, Sherlock Holmes wsiadał właśnie do dorożki, aby się udać na dworzec. Wsiadłszy, chciał się zaraz cofnąć, będąc może zawiadomiony o zasadzce. Zapóźno. Dwóch nieznajomych pochwyciło go, a dorożka galopem oddaliła się. I to wszystko stało się w obecności dziesięciu świadków, którzy przyszedłszy do przytomności nikogo już nie ujrzeli.

Może też Beautrelet będzie umiał rozwiązać tajemniczy dokument, do którego Brédoux przywiązywał taką wagę, że z nożem w ręce wydarł ów papier. Cóż mogło mieć za znaczenie „aiguille creuse“ (wydrążona igła)? Przecież słowa te nie przedstawiają żadnego pojęcia! Skąd pochodził papier, na którym dokument spisano? „Aiguille creuse“ nie była to czasem bazgranina studenta, który dla zabicia czasu kreślił punkty i liczby? Czy też był to rzeczywiście ważny dokument, który miał objaśnić awanturniczy żywot Arsena Lupin?

Od kilku dni dzienniki zapowiadały przybycie Izydora Beautrelet. Walka rozpoczęła się. Tym razem Izydor stanie nieubłagany, musi się zemścić.

Nazwisko jego napisane tłustemi literami w „Grand Journal“ zwróciło moją uwagę. Notatka brzmiała:

„Uzyskaliśmy przyrzeczenie od pana Izydora Beautrelet, że nam pierwszym wyjawi prawdę. Jutro w środę pismo nasze zamieści artykuł, który jasno wyświetli sprawę w Ambrumésy.“

— Obiecująca wiadomość. Co myślisz o tem, mój drogi?

Zerwałem się z miejsca. Obok na krześle siedział jakiś człowiek, którego nie znałem.

Wyciągnąłem rękę po broń jakąkolwiek, lecz postawa przybysza nie okazywała się groźną, cofnąłem się więc i przystąpiłem bliżej do niego.

Był to młody człowiek o energicznym wyrazie twarzy, jasnych włosach, z przedzieloną brodą. Ubiór miał skromny na sposób anglikańskich księży, od postaci zaś wiał spokój, który nakazywał szacunek.

— Kim jesteś? — spytałem.

Gdy nie odpowiadał, pytałem raz jeszcze:

— Kim jesteś? Jakim sposobem wszedłeś, i po coś przyszedł?

Patrzał na mnie i zapytał:

— Nie poznajesz mnie?

— Nie... nie...

— Ah! to ciekawe... Szukaj tylko w pamięci.. jeden z twoich przyjaciół... przyjaciel specyalnego rodzaju...

Pochwyciłem go za ramię.

— Kłamiesz!... kłamiesz... nie... nie jesteś tym, kim się być mienisz... to nieprawda!...

— Dlaczego myślisz pan o tym prędzej, jak o każdym innym? — zapytał z uśmiechem.

— Ah! ten uśmiech! ten uśmiech szczery, który znałem tak doskonale!... Zadrżałem. Czy to byłoby możliwe?

— Nie, nie, zaprzeczyłem z rodzajem grozy... to nie może być...

— To nie może być, abym był we własnej osobie, gdyż umarłem, nieprawdaż? a pan w duchy nie wierzysz?

Zaśmiał się znowu.

— Czyż należę do tych, którzy umierają? A umierają z ręki młodej dziewczyny? Doprawdy, nie znasz mnie pan? Jakżebym ja mógł zgodzić się na taki koniec!

— Więc to pan jesteś, zapytałem z niedowierzaniem i wzruszeniem, nie mogę jakoś pana rozeznać....

— Jeżeli jedyny człowiek, któremu ukazałem się pod prawdziwą postacią, nie poznał mnie, jestem więc spokojny. Żadna osoba nie rozpozna mnie zatem, jeżeli się w ten sposób przedstawię.

Mówiąc to, zmienił głos, po którym go w tej chwili poznałem, również oczy jego były te same i wyraz twarzy dobrze mi znany.

— Arsen Lupin, szepnąłem.

— Tak, Arsen Lupin, rzekł podnosząc się. Arsen Lupin, który porwócił z za świata, gdyż miałem podobno konać i umrzeć w krypcie. Arsen Lupin zdrów, silny i szczęśliwy, i zdecydowany korzystać jak najwięcej ze swej niezależności.

Śmiałem się również.

— Poznaję dobrze, że to pan, i weselszy, jak podczas naszego ostatniego spotkania się w zeszłym roku... winszuję.

— Lecz w jaki sposób dostałeś się pan tutaj? — spytałem.

— Mój Boże, wszedłem tak, jak każdy śmiertelnik — drzwiami. Nie spotkawszy na wstępie nikogo, przeszedłem przez salon i pokój balkonowy i jestem.

— Dobrze. Ależ skąd wziąłeś pan klucz?

— Pan wiesz przecie, że dla mnie drzwi nie istnieją. Potrzebowałem pańskiego pomieszkania, więc wszedłem.

— Do usług. Czy mam odejść?

— Cóż znowu. Nie będziesz nam pan przeszkadzał. Mogę panu nawet zaręczyć, że to będzie interesujący wieczór.

— Spodziewasz się pan kogo?

— Tak, oznaczyłem rendez-vous na dziesiątą godzinę.

Spojrzał na zegarek.

— Już dziesiąta. Jeżeli telegram na czas doszedł, osoba ta nie spóźni się.

Jednocześnie rozległ się dzwonek w przedpokoju.

— Nie mówiłem panu? Nie, nie fatyguj się pan... sam pójdę.

Z kim, do dyabła, mógł się tutaj umówić, i jakaż będzie ta scena, która się ma za chwilę rozegrać? Jeżeli sam Lupin mówi, że będzie interesującą, to rzeczywiście musi być coś niezwykłego.

Po kilku minutach wrócił w towarzystwie młodego człowieka. Wszedłszy, pozapalał wszystkie lampy elektryczne. Jasność zalała cały pokój. Natenczas dwaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy, długo i głęboko, jak gdyby chcieli się nawzajem przeniknąć.

Wielkie wrażenie sprawiało patrzeć na nich. Lecz któż mógł być ten nowo przybyły?

Zaczynałem go poznawać z podobieństwa fotografii, którą zamieściła pewna gazeta, gdy tymczasem Arsen Lupin, zwracając się do mnie, rzekł:

— Pozwól, kochany przyjacielu, że przedstawię ci pana Izydora Beautrelet.

A zwracając się do młodzieńca dodał:

— Dziękuję ci, panie Beautrelet, najpierw, że byłeś łaskaw, wskutek mego listu, wstrzymać swoje wyjaśnienia, a następnie, że zechciałeś stawić się na oznaczonem miejscu z taką uprzejmością.

Beautrelet uśmiechnął się.

— Proszę zauważyć, że uprzejmość moja musiała się zastosować do pańskich rozkazów. Groźba zamieszczona we wspomnianym liście była rozstrzygającą, nie dotyczyła bowiem mojej osoby, tylko mego ojca.

— Mój Boże, odrzekł, śmiejąc się Lupin, trzeba tak postępować, jak można i posługiwać się takiemi środkami, jakie się posiada. Wiedziałem z doświadczenia, że własne bezpieczeństwo mało cenisz. Został więc twój ojciec... którego bardzo kochasz... Zagrałem więc na tej strunie.

— Dlatego też przyszedłem, przyznał się Beautrelet.

Prosiłem, aby zajęli miejsca. Gdy usiedli, podjął Lupin głosem, w którym przebijała niepochwytna ironia:

— W każdym razie, panie Beautrelet, jeżeli nie chcesz przyjąć podzięki, to pozwolisz, że cię przeproszę.

— Mnie przeprosić! z jakiego powodu, panie?

— Chcę cię przeprosić za brutalną napaść pana Brédoux.

— Przyznaję, że zamach ten zastanowił mnie. Nie jest to bowiem zwykłe postępowanie Arsena Lupin. Pchnięcie nożem...

— Nie jest to moja wina. Brédoux jest nowicyuszem. Przyjaciele moi, przez czas sprawowania rządów, myśleli, że będzie dobrze dla naszej sprawy, gdy pozyskają sekretarza tego sędziego, który prowadził śledztwo.

— Przyjaciele pańscy nie mylili się.

— Rzeczywiście, że Brédoux, który miał obowiązek śledzenia pana, oddał nam wielkie przysługi. Lecz gorliwość swoją posunął za daleko i z własnej inicyatywy, przeciw mej woli zranił pana nożem.

— Oh! nie wielkie nieszczęście.

— Ależ przeciwnie, zbeształem go za to porządnie. Na jego uniewinnienie wszakże muszę dodać, że nieprzewidziana szybkość pańskiego działania skłoniła go do tego. Gdybyś był nam zostawił kilka godzin czasu, byłbyś uszedł tej napaści...

— I byłbym miał ten zysk, bez wątpienia, dzielić los panów Ganimarda i Sherlocka Holmesa?

— Otóż to właśnie, zaśmiał się serdecznie Lupin. A ja nie zaznałbym okrutnej trwogi, jaką mi stan twój sprawił. Przysięgam, że przeszedłem straszne chwile, a dzisiaj jeszcze bladość twoja jest dla mnie palącym wyrzutem. Przebaczyłeś mi?

— Dowód zaufania, jaki mi okazałeś, oddając mi się w ręce — byłoby mi bowiem tak łatwo przyprowadzić kilku przyjaciół Ganimarda! — ten dowód zaufania wyrównuje wszystko.

— Czyż mówił seryo? Przyznam się, że byłem zawiedziony. Walka między tymi dwoma przeciwnikami rozpoczynała się w ten sposób, że nie mogłem się niczego dorozumieć. Byłem raz obecny przy spotkaniu się Arsena Lupin z Sherlockiem Holmes i przypominam sobie doskonale ich dumne postawy, ich brutalne i aroganckie napaści na siebie, mimo pozoru grzeczności i uprzejmości.

W tem spotkaniu nie było nic z tego wszystkiego. Arsen Lupin był ten sam w swojem postępowaniu. Lecz jak różnym był jego przeciwnik! Byłto rzeczywiście przeciwnik? — Nie miał bowiem ani miny, ani postawy. Był bardzo spokojny, widać było, że nie krył burzy pod maską spokoju; grzeczny, bez przesady, uśmiechający się, lecz bez ironii, stanowił widoczny kontrast z Arsenem Lupin, tak widoczny, że nawet sam Lupin zdawał się być zawiedziony.

Rzeczywiście, że Lupin stracił swoją pewność siebie, wobec tego młodzieńca o różowej twarzy, o oczach szczerych i naiwnych. Kilka razy zauważyłem ślady pewnego zakłopotania. Wahał się, nie napadał otwrcie, tracił czas na jakieś słodko brzmiące frazesy.

Był jakiś niepewny, zdawał się szukać, kogoś oczekiwać. Lecz kogo? Jakiej pomocy?

Znowu zabrzmiał dzwonek. Poszedł otworzyć. Wrócił z listem.

— Panowie pozwolą? zapytał.

Rozdarł kopertę, list zawierał depeszę, którą przeczytał.

W tejże chwili zaszła w nim nadzwyczajna zmiana. Twarz rozjaśniła się, wyprostował się, a żyły na czole nabiegły mu krwią.

Położył telegram na stole i uderzywszy pięścią, krzyknął:

— Teraz, panie Beautrelet, zobaczymy!

Beautrelet przybrał postawę wyczekującą, Lupin zaś ciągnął dalej tonem suchym i twardym.

— Zrzućmy maski, nieprawdaż, dosyć tych hypokryzyj. Jesteśmy przeciwnikami, którzy wiedzą, co chcą i do czego dążą, działamy, jako nieprzyjaciele, i, jako tacy, musimy się ułożyć.

— Ułożyć? powtórzył Beautrelet zdziwionym głosem.

— Tak, ułożyć się, nie wyrzekłem tego słowa na wiatr, musimy się ułożyć, choćby mnie to nie wiem jak wiele kosztować miało. A kosztuje mnie dużo, Pierwszy raz bowiem postępuję w ten sposób, i dodaję, że poraz ostatni. Skorzy-

staj z tego. Nie odejdę stąd, jak z twojem przyrzeczeniem, w przeciwnym zaś razie wypowiadam wojnę.

Zadziwienie Izydora Beautrelet wzrastało z każdem słowem, wreszcie rzekł grzecznie:

— Nie spodziewałem się tego... odzywasz się pan tak dziwnie do mnie!... Wyobrażałem sobie zupełnie inaczej to spotkanie... Pocóż się unosić? Pocóż grozić? Czy jesteśmy nieprzyjaciółmi dlatego, że zbieg okoliczności postawił nas naprzeciw siebie. Nieprzyjaciele... dlaczego?

Lupin zdawał się być zmieszany, a pochyliwszy się nad młodzieńcem, rzekł załzawionym głosem:

— Słuchaj, mój mały, tu nie chodzi o dobieranie wyrazów, chodzi o fakt pewny, niezaprzeczony: Od dziesięciu lat nie napotkałem takiego przeciwnika, jak ty. Ubezwładnić Ganimarda i Sherlocka Holmesa, to dla mnie drobnostka. Przeciw twoim napaściom muszę się bronić, a powiedziałbym nawet, że muszę się cofać. Tak, młodzieńcze, w obecnej chwili muszę się przyznać, że jestem pokonany, Izydor Beautrelet uzyskał przewagę nad Arsenem Lupin. Plany moje zniweczone, to, co chciałem, aby zostało tajemnicą, wydobyłeś na światło dzienne. Paraliżujesz moją działalność. Mam ciebie dosyć. Straciłem cierpliwość...

Beautrelet wzruszył ramionami.

— Niech się dowiem nareszcie, co pan chcesz odemnie.

— Zawarcia pokoju! Każdy niech idzie swoją drogą.

— To znaczy, że będąc wolnym, pan będziesz nadal prowadził swoje rzemiosło, a ja, wrócić mam do moich studyi.

— Czy wrócisz do studyi, lub nie, to mi wszstko jedno... to do mnie nie należy... Lecz mnie zostawisz w spokoju... ja chcę mieć spokój.

— W jaki sposób mogę go zamącić?

Lupin pochwycił go gwałtownie za ramię.

— Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Posiadasz obecnie rozwiązanie tajemnicy, do której przywiązuję wielkie znaczenie. Sekret ten mogłeś odgadnąć, lecz nie masz prawa opublikować go.

— Jesteś pan pewien, że tajemnicę tę przeniknąłem?

— Znasz ją, jestem pewien, Z dnia na dzień śledziłem bieg twoich myśli i postępy twojego śledztwa. Gdyby Brédoux nie był ciebie zranił, byłbyś już wtenczas wszystko powiedział. Przez wzgląd na ojca, wstrzymałeś swoje wyjawienie. Lecz dzisiaj obiecałeś dziennikowi, oto krótka wzmianka. Artykuł masz gotowy. Jutro pójdzie do druku.

— Prawda.

Lupin wstał, ręką machnął w powietrzu i krzyknął:

— A ja ci mówię, że artykuł ten nie będzie drukowany.

— Będzie, rzekł Beautrelet, wstając również.

Nareszcie obaj przeciwnicy stali na przeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Twarz Izydora wyrażała energię. Możnaby powiedzieć, że iskra jakaś roznieciła nieznane uczucia, jak zuchwałość, miłość własną, namiętność walki i odurzający szał niebezpieczeństwa.

Lupin zaś, był w swoim żywiole, nareszcie ujrzał szpadę nienawistnego przciwnika.

— Czy już dany artykuł?

— Nie jeszcze.

— Masz go przy sobie?

— Nie głupim! Jużbym go nie był miał w tej chwili.

— Więc gdzie jest?

— Oddałem go jednemu z redaktorów w podwójnej kopercie. Jeżeli o północy nie wrócę do redakcyi, ma go dać do druku.

— Ah! łajdak, mruknął Lupin, wszystko przewidział.

Wściekłość go żarła.

Beautrelet uśmiechał się szyderczo i ironicznie, odurzony odniesionym tryumfem.

— Milcz, smarkaczu, ryczał Lupin, ty więc nie wiesz, kim jestem, i że gdybym chciał... Daję słowo, ma odwagę śmiać się!

Głucha zapanowała cisza. Następnie Lupin zbliżył się i utkwiwszy wzrok w oczach Izydora Beautrelet, rzekł głucho:

— Polecisz do redakcyi „Grand Journalu“.

Nie.

— Podrzesz swój artykuł.

— Nie.

— Postarasz się widzieć z naczelnym redaktorem.

— Nie.

— Powiesz mu, że się omyliłeś.

— Nie.

— I napiszesz inny artykuł, w którym potwierdzisz wiadomość wszystkim znaną.

— Nie.

Lupin pochwycił żelazną linijkę i złamał ją w przystępie złości. Przerażająca bladość pokryła jego oblicze. Otarł krople potu, które perliły się na jego czole. On, który nigdy nie zaznał oporu przeciw swej woli, upór tego chłopca, doprowadził go do szaleństwa.

Oparł obie ręce na ramionach Izydora Beautrelet i dobitnie ślabizował:

— Ty wszystko to uczynisz, Beautrelet, ty powiesz, że ostatnie twe odkrycia przekonały się o mojej śmierci. Ty powiesz tak, ponieważ ja chcę, ponieważ wszyscy muszą wierzyć, że umarłem. Ty powiesz dlatego,... że, gdybyś tak nie powiedział, to...

— Gdybym tak nie powiedział, to...

— Ojciec twój zostanie uprowadzony w ten sam sposób co Ganimard i Sherlock Holmes.

Beautrelet uśmiechnął się.

— Nie śmij się... odpowiadaj.

— Odpowiadam, że jest mi niewymownie przykro sprzeciwić się panu, lecz obiecałem mówić, więc powiem prawdę.

— Mów w tym sensie, jak cię pouczyłem.

Nie, będę mówił prawdę, wykrzyknął z zapałem Beautrelet. Nie zrozumiesz pan tej radości, raczej potrzeby powiedzenia głośno tej prawdy, którą odgadłem i wykombinowałem. Artykuł będzie drukowany tak, jak go napisałem. Dowiedzą się wszyscy, że Arsen Lupin żyje, i z jakich powodów chciał uchodzić za umarłego. Publiczność dowie się wszystkiego...

I dodał z uśmiechem:

— Zaś ojciec mój nie będzie uprowadzony.

Zamilkli znowu, mierząc się wzrokiem. Była to chwila stanowcza, przed ostatecznym ciosem. Lecz, któż go zada?

Lupin szepnął:

— Tej nocy, nie odebrawszy ode mnie innego rozporządzenia, dwóch moich przyjaciół mają rozkaz uprowadzenia ojca twego.

Wybuch śmiechu był mu odpowiedzią.

— Czy nie możesz zrozumieć, łotrze, wykrzyknął Beautrelet, że byłem na tyle przezorny? Czy ty myślisz, że byłem tak ograniczony, aby ojca odesłać do domu, do osamotnionego mieszkanka na wsi?

Oh! jaki ładny uśmiech ironiczny ożywił twarz młodzieńca! Uśmiech niebywały! widoczny wpływ Arsena Lupin... I ta zuchwałość mówienia po imieniu, postawiła go w jednej chwili na równi z przeciwnikiem!...

Ciągnął dalej.

— Widzisz, Lupin, twój największy błąd, to... myśleć, że twoje kombinacye są nieomylne. No, poddajesz się? Ty jesteś przekonany, że zawsze i wszędzie musisz zwyciężyć... zapomniałaś tylko, że inni również mają swoje kombinacye. Moja była bardzo prosta, mój kochany przyjacielu...

Było prześlicznie słuchać jego mowy. Chodził tam i napowrót z rękami w kieszeniach. Doprawdy w tej chwili pomścił wszystkie ofiary wielkiego awanturnika. Ciągnął dalej:

— Lupin, ojciec mój nie jest w Sabaudyi. Znajduje się obecnie w przeciwnej stronie Francyi, w centrum wielkiego miasta, strzeżony przez dwudziestu naszych przyjaciół, którzy mają rozkaz nie odstępować ojca, aż do zakończenia naszej walki. Chcesz szczegółów? Powiem ci... Mieszka obecnie w Cherbourgu, w domu jednego z urzędników arsenału — słyszysz, znajduje się w arsenale, który zamykają nocą, a do którego we dnie można dostać się tylko za specyalnem pozwoleniem i w towarzystwie przewodnika.

Stanął, spojrzał przekornie Arsenowi w oczy i zapytał:

— Cóż ty na to, mistrzu?

Od kilku minut Lupin stał nieruchomo. Żaden muszkuł nie drgnął w twarzy. O czem myślał? Co postanowił uczynić? Kto tylko znał gwałtowność jego charakteru, mógł przypuścić jedno rozwiązanie: że rzuci się na przeciwnika i zdławi go ostatecznie.

— Cóż ty na to, mistrzu? powtórzył Beautrelet.

Lupin pochwycił telegram, leżący na stole, podał go, i rzekł, panując nad sobą:

— Patrz, dzieciaku, czytaj.

Beautrelet spoważniał, uderzony słodyczą głosu przeciwnika, rozwinął papier, a w chwilę unosząc oczy szepnął:

— Cóż to znaczy?... Nic nie rozumiem...

— Lecz rozumiesz zapewne pierwsze słowo, rzekł Lupin... pierwsze słowo depeszy... to jest nazwisko miejscowości, z której jest wysłane... patrz... Cherbourg.

— Tak, tak... bełkotał Beautrelet... tak... rozumiem.. Cherbourg... a cóż dalej?

— Dalej?... Zdaje mi się, że wiadomość dosyć zrozumiała: „Zabranie kosza dokonane... towarzysze pojechali z nim i czekają na dalsze rozporządzenia do jutra ósmej rano. Wszystko w porządku.“ Czego więc nie możesz zrozumieć? Co znaczy słowo „kosz?“ Mój Boże, nie mogli przecież napisać „stary pan Beautrelet“. Nie rozumiesz w jaki sposób zamach ten został dokonany? Jakim cudem ojciec twój został wydobyty z arsenału, w którym go strzegło dwudziestu ludzi? Ależ to drobnostka. Najważniejsza, że „kosz“ wyekspedyowany. Cóż ty na to, dzieciaku?

Izydor całą siłą woli panował nad sobą, aby nie dać poznać, co się w nim dzieje. Lecz widocznem było drżenie ust, a oczy błędnie przesuwały się z przedmiotu na przedmiot, nie zatrzymując się nigdzie. Wykrztusił kilka słów, naraz zamilkł i ukrywając twarz w dłoniach, wybuchł spazmatycznem łkaniem:

— Oh! ojcze... ojcze...

Rozwiązanie nieoczekiwane przez Arsena Lupin, lecz jak wzruszające i naiwne!

Z niezadowoleniem Lupin chwycił za kapelusz i chciał odejść. Lecz w progu zatrzymał się, wahał się chwilę, następnie powoli wrócił na swoje miejsce.

Łkanie młodzieńca wznosiło się, jak skarga dzieciny, której wyrządzono krzywdę. Łzy spływały przez skrzyżowane palce. Lupin schylił się i nie dotykając Izydora, rzekł głosem, w którym nie było cienia szyderstwa, ani obrażającej litości, jaką zwykle uczuwa zwycięzca:

— Nie płacz, mały. Są to ciosy, na które trzeba być przygotowanym, rzucając się naoślep w walkę, jak ty to czynisz. Czekają ciebie może większe klęski... Jest to przeznaczenie bojowników, trzeba to przyjąć z odwagą.

Ciągnął dalej z pewną słodyczą:

— Widzisz, miałeś racyę mówić, że nie jesteśmy nieprzyjaciółmi. Wiedziałem o tem od dawna. Od pierwszej chwili uczułem dla ciebie niewytłomaczoną sympatyę... dla twojej inteligencyi — podziw... Dlatego chciałbym ci powiedzieć... lecz nie chciałbym cię zranić... ale muszę ci powiedzieć... A więc, zaprzestań walki... Nie mówię to przez próżność, ani dlatego, abym ciebie lekceważył... lecz widzisz... siły nasze są tak nierówne... Ty nie wiesz, jakimi środkami rozporządzam... ty nie znasz mojej woli, ani pomysłów, jakimi do celu dążę. Pomyśl tylko, że przez całe moje życie pracowałem, jak skazaniec, aby dojść do tego typu doskonałości, który chciałem stworzyć... który stworzyłem... Więc cóż? Cóż ty zrobić możesz? Proszę cię więc... zrzeknij się walki... byłbym bowiem zmuszony zrobić ci krzywdę, a byłoby mi to bardzo przykro...

Kładąc mu rękę na czoło, powtarzał:

— Raz drugi mówię... zrzeknij się walki. Któż wie, czy nie wpadniesz w sidła, które może już są zastawione?

Beautrelet odjął ręce od ócz; nie płakał już. Lecz czy słuchał potoku słów Arsena Lupin? Możnaby wątpić, sądząc z roztargnionego wyrazu twarzy.

Kilka minut panowało milczenie. Zdawał się zastanawiać jeszcze nad powziętem postanowieniem, rozważać wszystkie za i przeciw okoliczności sprzyjające i niesprzyjające.

Wreszcie rzekł do Arsena Lupin:

— Jeżeli zmienię artykuł, jeżeli potwierdzę śmierć pana, jeżeli zobowiążę się prawdy nie wyjawić, przysięgasz mi pan, że ojciec mój będzie wolny?

— Przysięgam ci. Towarzysze moi uwieźli twego ojca automobilem do małego miasteczka. Jeżeli więc artykuł w „Grand Journalu“ będzie takim, jak powiedziałem, dam znać telefonicznie, aby ojca twego wypuścili na wolność.

— Poddaję się warunkom pana, rzekł Beautrelet.

Uważał, że po odebranej porażce, dłuższy pobyt nie ma żadnego celu, pochwycił więc kapelusz, skłonił się mnie i Arsenowi Lupin i wyszedł.

Lupin patrzał za nim, gdy usłyszał hałas zatrzaśniętych drzwi, szepnął:

— Biedny chłopiec...

Następnego dnia rano, posłałem służącego, aby mi przyniósł najnowszy numer „Grand Journalu“. Po pół godzinie wrócił z mozolnie nabytym egzemplarzem, gdyż prawie we wszystkich agencyach odnośny numer był wyprzedany.

Gorączkowo otworzyłem dziennik i na pierwszem miejscu spostrzegłem artykuł Izydora Beautrelet. Podaję go tak, jak go miały wszystkie dzienniki:

Dramat w Ambrumèsy.

Zważywszy na szczupłość miejsca, nie mogę czytelnikom wyjawić wszystkich myśli moich i zabiegów, dzięki którym doszedłem do wyświetlenia dramatu, czyli podwójnego dramatu w Ambrumèsy. Zadowolnię się tylko wyjawieniem dwóch myśli przewodnich, i opowiem w prosty sposób całe zajście, trzymając się porządku faktów, jak następowały po sobie.

Może czytelnink zauważy, że niektóre fakta nie są sprawdzone, i że pozostawiam miejsce przypuszczeniom. Prawda. Lecz zdaje mi się, że moja hipoteza spoczywa na tylu faktach wyświetlonych, że te, które nie są zbadane, są mimo to tak jasne, że trzeba je przyjąć w ten sposób, a nie w inny. Często strumyk zaginie pod skałami, a mimo to rozpoznamy go, że to ten sam, o kilkanaście kroków dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wśród walki z losem.

17) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Gdzie byłaś, Jane? Czemu mię tak długo samą pozostawiłaś?

— Czy co złego stało się bezemnie?

— Ach tak, gdy ciebie nie ma, zawsze coś niedobrego zajdzie.

— O, Boże! opiekuj się nią Ty wtedy, gdy — szepnęła do siebie samej.

— Otrzymałam list od niego — szeptała Helena — od tego, któregoś tu ze sobą przyprowadziła. — Czy nie powiedziałam panu — zawołała z uniesieniem zwracając się do Artura Barklay — że pana widzieć nie chcę, bo widok twej osoby strachem mnie przejmuje. Czyż nie przyrzekłeś mi pan, że mię pozostawisz w spokoju? A pan, dodała zwracając się do Walentego z nagłem umiarkowaniem w głosie, którego nagłe przejście z wielkiego rozdraźnienia do zupełnego spokoju wskazywało, że uczucie gniewu było w niej w najwyższym stopniu spotęgowane — mogłeś mi oszczędzić przynajmniej tego nowego upokorzenia.

Zanim Walenty mógł odpowiedzieć, Artur Barklay odezwał się: Ten pan przyszedł tu uproszony przezemnie jako świadek; jeżeli ma oprócz tego jaki inny interes nic o tem nie wiem i nie obchodzi mię wcale.

— Uproszony przez pana? — zapytała.

— Uspokój się pani — rzekł pogardliwie — nie przyszedłem tu, by cię dręczyć przypomnieniem dawnych rzeczy, bo co do tego punktu świat już dawno tak na panią, jak na mnie wydał swój wyrok — ale po to, by ci oddać dług, z którymś mi się narzuciła.

— Ostatecznie wyrok wyda Bóg na tamtym świecie.

— Tymczasem jednak jesteśmy jeszcze na ziemi i mamy do mówienia o sprawach pieniężnych — rzekł gburowato, które, jak się pani z mego listu przekonać mogłaś, również dobrze przez to tutaj indywiduum — i przy tych słowach wskazał na mrs. Graves — uskutecznić było można.

— Ja wychodziłam w interesie osobistym — rzekła tłumacząc się mrs. Graves.

— Oto są dziesięć tysięcy funtów, któreś mi pani, mrs. Barklay, zeszłej zimy pożyczyła. W obecności mrs. Graves i tego tutaj pana oddaję je pani wraz z procentem i lżej mi teraz na sercu, żem się pozbył tych pieniędzy.

Machinalnie odebrała Helena podane jej przez niego banknoty i rzekła bezdźwięcznym głosem: Co ja mam z tem zrobić? Po co mi to pan odnosisz?

— Aby zrzucić z serca ciężar, jak to pani co dopiero powiedziałem.

— Tak, powiedziałeś to pan.

— Siedziała jak nieprzytomna utkwiwszy wzrok w ziemię i dopiero gdy ją prawie rozkazującym tonem zawezwał, by przeliczyła pieniądze, uczyniła to w ten sam apatyczny sposób.

— Napiszę panu pokwitowanie, jeżeli sobie życzysz — szepnęła — ale to miał być podarunek, a nie pożyczka.

— Dlatego też właśnie tego pana, który nas oboje zna tak dobrze, uprosiłem, by był obecnym, gdy te pieniądze będę oddawał, i dzięki składam Opatrzności, żem się uwolnił od twej łaski. Takiemu, jak ja, włóczędze nawet posiadającemu pokwitowanie pani, żaden człowiek nie dałby wiary. Mogliby ludzie powiedzieć, pani sama mogłabyś powiedzieć, żem to pismo sfałszował, bo fałszowanie dokumentów jest jedną z najmniejszych mych zbrodni wobec nieomylnej powagi prawa.

Gorycz brzmiała w jego głosie, gdy te słowa wymawiał i Helena spojrzała na niego ze zdziwieniem, bo zachowanie się jego było jej obcem.

— Zostawisz mię pan teraz w spokoju? — rzekła. — Prawdopodobnie nie masz mi już nic więcej do powiedzenia.

— Wszystko pomiędzy nami skończone.

— Kwit, jeżeli pan sobie życzysz.

— Nie potrzeba, skoro pani przyznałaś, że to, com oddał, miało być darowizną.

Lekko skłoniwszy głową na pożegnanie, ku drzwiom postąpił. — Ja, ja mam rachunek z tobą do załatwienia ozwała się teraz Mr. Graves. Nie odchódź jeszcze, Heleno — rzekła zwracając się do swej pani — musisz nas pozostawić samych. Uważałam go za własne dziecko, gdy jeszcze był chłopczykiem, przyrzekłam matce jego, gdy leżała na łożu śmiertelnem, że będę czuwać nad nim i złamałam przyrzeczenie widząc, że się zabłąkał na manowce. On nie jest tak złym, jak sądzisz, i jak ja sama sądziłam. Kochałam go czule, gdy był chłopięciem, a tego wieczora stał się znów droższym memu staremu sercu. Zostaw nas samych, chciałabym się z nim pojednać.

Helena, jakkolwiek zdumiona i nie pojmując co zaszło, na życzenie mrs. Graves powstała i wyszła. Walenty Merrick patrzał za nią milcząc. Nie miał serca, po tem co widział, mówić jej teraz o Percym Andison. Nie miała przecie z nim żadnej schadzki, czas więc jeszcze do działania, a biedna kobieta, przeciw której cały świat się zwrócił, miała i tak dość do przecierpienia. Czemuż nie miał jej użyczyć chwili wytchnienia?

Gdy się drzwi za nią zamknęły mrs. Graves zwróciła się do niego:

— Nie masz pan potrzeby pozostawać tutaj — rzekła groźnym, przytłumionym głosem, w którym silniej, aniżeliby te słowa wyrazić mogły, malował się cały ogrom nienawiści, jaką dla niego czuła. — Dzisiejszego wieczoru nie ma dla ciebie materyału, z któregobyś mógł ukuć nową dla nas klęskę. Wszystko, co się już stało, wszystko, co się jeszcze stanie — twojem jest dziełem.

— Będę w stanie odpowiedzieć na to — odpowiedział — tymczasem...

— Nie! — zasyczała — nie mam na to czasu. Co chcesz usłyszeć odemnie, zapytaj o to twego przyjaciela, on ma upoważnienie powiedzieć panu, w jakim celu widziałam się z nim dzisiaj. Mr. Andison czeka na pana.

Walenty, na którym osobliwy widok tej kobiety silniejsze zrobił wrażenie, aniżeliby to przed sobą samym chciał

przyznać, powstał i wyszedł. Cóż tu miał wreszcie robić dłużej? Nie dowierzał wprawdzie temu, co mówiła mrs. Graves, ale pragnął wrócić do domu.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, stara zwróciła się do Artura:

— Arturze — rzekła uroczyście — żądam od ciebie, abyś mi przysiągł na twój honor, że rzecz jedną dla mnie uczynisz.

— Dla ciebie?

— Tak, dla mnie jedynie.

— Jeżeli to ma być dla ciebie, stara przyjaciółko — rzekł serdecznie — to zrobię to przez pamięć na owe dawne czasy, o których dzisiaj mówiłaś.

— Daj mi na to twe słowo, Arturze.

— Dałem je już.

— Nigdy nie słyszałam, ażeby Artur Barklay złamał dane słowo, — rzekła stara kobieta — a jednak żądam, abyś mi złożył przysięgę, że wypełnisz moje żądanie.

— W twojej sprawie, tak, dla niej nie! — I Artur Barklay przyklęka i składa uroczystą przysięgę a potem czeka, co ona mu powie.

— Arturze Barklay! żądam od ciebie, abyś mnie odwiózł do Yorku.

— Ja — ciebie — do Yorku? Kiedy?

— Teraz, natychmiast, gdym słaba i złamana dla niej się już na nic przydać nie mogę. Bo stara sługa przekonała się, że zadanie, jakie sobie za cel położyła, okazało się daremnem i wypocząć pragnę.

— Ah! — straciłaś wreszcie zaufanie do niej.

— Masz jechać ze mną tej nocy jeszcze, natychmiast— mówiła, nie zważając na jego słowa — abyś mię wspierał, gdybym się zachwiać miała, abym czuła, że nie jestem opuszczoną, ale że ten, który mię zna najlepiej, stoi mi przy boku do ostatniej chwili.

— Jakto, do ostatniej chwili?

— Do chwili, gdy sprawiedliwość wyrzeknie nademną wyrok potępienia i pośle na rusztowanie — bo...

— Bo — co?

— Bo ja otrułam Michała Barklay.

I upadła u stóp jego złamana i w tej pełnej skruchy postawie objęła jego kolana.

— Wszechmogący Boże! — Ty?! — wykrzyknął.

— O, nie przeklinaj mnie, dopóki się wszystkiego nie dowiesz! W drodze opowiem ci wszystko. Nie teraz. Przebacz mi hańbę, jaką ściągnęłam na dwie niewinne głowy, których młode życie dusza moja przez ten czyn uszczęśliwić pragnęła.

— Ty? — ty? — Czyż to być może! — bełkotał prawie nieprzytomny. Pochwycił się za głowę, tchu mu nagle zabrakło, próbował nieszczęsną podnieść ze ziemi, a nie mógł pojąć, dla czego naraz stał się słabym jak dziecię. Język wypowiedział mu posłuszeństwo i nie miał siły wyrzec tych słów przebaczenia, o które go błagała, a jej się zdawało, że jej tego przebaczenia udzielić nie chce.

— Nie ma dla mej zbrodni uniewinnienia, wiem to dobrze tak teraz, jak w chwili jego śmierci — jąkała — ale tego morderstwa popchnęło mnie przywiązanie do ciebie i Heleny, a nie uczucie nienawiści ku niemu. Mnie on na świecie nie zawadzał, nie, zbyt długo byłam jego niewolnicą; o was tylko myślałam, jakby wam bez niego dobrze było na świecie. Nie pojmujesz, nie możesz tego pojąć?

— Mów dalej, mów, teraz zaczynam wszystko pojmować.

— On nie wart był życia, nie powinien był żyć! — zawołała dziko. — Nie było i nie będzie na świecie sroższego od niego potwora. On na to tylko żył, by drugich dręczyć i zatruwać im życie. Jego to złość zawiodła cię na bezdroża i zwichnęła twą przyszłość, bo cię opuścił i odepchnął.

— Tak, zwichnął mą przyszłość — rzekł Artur ponuro — ale nie żądałem od ciebie, byś się stała mą mścicielką.

— Byłeś synem jego brata, a ja cię wychowałam i pielęgnowałam w twem dziecięctwie; twe występki bolały mnie, jakbyś mem własnem dziecięciem był ,a każdy twój zły uczynek, ranił ostrzem sztyletu me serce. A on radował się nad twym upadkiem, cieszył się twą zgubą. On...

— On już w grobie spoczywa. Przez litość, nie naruszajże spokoju umarłych! — zawołał. — Powstań nieszczęsna, uspokój się i nie nmów mi już nic więcej.

— O, nie. Pozwól niech wszystko wypowiem. Gdy Helena została jego żoną, nakłonioną przez swego nierozsądnego ojca, który w kilka miesięcy po jej ślubie umarł, prosto z pensyi oddana w ręce tego tyrana, z całą słodyczą i łagodnością anioła starała się pogodzić z swym smutnym losem. W swej niemocy i opuszczeniu przytuliła się do mnie, a ja ją jak córkę pokochałam, bo nie miała nikogo, coby się o nią potroszczył, ujął za nią. Lecz gdy i dla Heleny stał się takim samym tyranem, jakim był dla ciebie, gdy z latami złość jego doszła do okrucieństwa — tu głos jej zniżył się aż do szeptu — wtedy chcąc ją ratować, targnęłam się na jego życie.

— Ani słowa więcej! — wyszeptał stłumionym głosem, usiłując podnieść klęczącą u stóp swych nieszczęśliwą kobietę. Lecz złamana i skruchą przejęta, niby Magdalena pokutnica, nie chciała się ruszyć z swej upokarzającej postawy pierwej, zanim złoży całe swe zeznanie.

— Jedyna **rzecz, jakiej pragnęłam, była** wolność dla was obojgu i szczęście wasze. Gdybym to była osięgła, nigdybym nie żałowała mego postępku.

— Okropność! — wyszeptał.

— Gdybym przynajmniej jedno z was była mogła ocalić, Arturze. Ale ty pozostałeś złym, a ją stawiono przed sądem jako morderczynią. Gdyby był zapadł na nią wyrok potępiający, wtedy byłabym wszystko wyznała. Cudem prawie uszła śmierci, a ja myślałem, że czas wszystko załagodzi, a ona w poczuciu swej niewinności odzyska dawną swobodę i szczęście na jakie zasługuje, a tymczasem sprowadziłam na nię tylko niedolę. Omyliłam się srodze, zła fama ścigała ją wszędzie, gdzie się tylko pokazała, a zmartwienie podkopało jej siły. W dzień i w nocy czuwałam nad nią, wszystko złe starałam się od niej oddalić, lecz teraz, gdy widzę, że tylko *moje* zeznanie jest w stanie oczyścić ją z zarzutu i cześć jej przywrócić — składam je ochoczo.

— Dość, dziś, ani słowa więcej.

— Wyznałam mą zbrodnię jedynemu człowiekowi, który wierzył w jej niewinność, powiedziałam mu wszystko dzisiaj wieczór. Nie mogę patrzeć dłużej na jej rozpacz i mnie wreszcie sił zabrakło. Cóż mi więcej pozostaje? Jutro pojadę do Yorku i stawię się przed trybunałem jako morderczyni Michała Barklay.

— Ja cię tam nie zawiozę.

— Przysiągłeś mi na to, a mnie potrzeba mieć obok siebie przyjaciela. Nie łamże twej przysięgi danej kobiecie tak bardzo opuszczonej i — o! Arturze, przebacz mi.

— Za to, coś złego mnie samemu wyrządziła jeżeli wogóle wyrządziaś mi je, masz moje całkowite przebaczenie — rzekł — ale nie jest w mej mocy dać ci to przebaczenie w imieniu innych.

— Tak, wiem to — odpowiedziała, poprawiając siwe, rozczochrane włosy pod swój staroświecki kapelusz, którego jeszcze nie była zdjęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).







Abonujcie i polecajcie „Pracę.“
„Praca“ kosztuje kwartalnie 1,50 M.

Jedwab jest zawsze mile widzianym.
Jedwab na bluzki, suknie balowe i wieczorkowe
Jedwabne bluzki tiulowe i wełniane
Jedwabne halki, szale, fartuchy

Ogromny wybór!
Ceny są obecnie **znacznie zniżone!**

Dom jedwabi Leo Rosenberg,
ul. Berlińska 6. 539

Nowości
na porę zimową nadeszły
we wielkim wyborze

W. Frąckowiak, Poznań,
Pracownia eleganckiej garderoby męzkiej. 317
plac Wilhelmowski 18, Dom Przemysłowy
Telefon 2546.

Najnowszej konstrukcyi
parownik Akra Reforma Reussa,
nie podlegający kontroli policyjnej zużywający **mało tylko opału,** nie potrzebujący obmurowania z gniotownikiem lub bez tegoż. **Zwycięzca na międzynarodowych konkursach w Wiedniu i w Warszawie,** w współzawodnictwie obok innych z parownikiem Ventzkiego.
Tysiące tych parowników pracuje z najlepszym skutkiem tak w kraju jak za granicą.
Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie.

Adres do listów **A. Bryliński Poznań-Posen.** — **A. Bryliński** — Adres do telegr. **A. Bryliński Posen.**
Telefon nr. 69.
w Poznaniu, ul. Rycerska nr. 14.
Skład machin i narzędzi rolniczych wszelkiego rodzaju. Wielki zapas części do pługów i machin rozmaitego systemu, jako też pracownia do naraw. 147

Specyalna oferta!
Wszystkie towary polepszone po znanych tanich cenach.
Polecam specyalnie:
Kakao (gwar. czystość) funt 1.20, 1.60, 2.00, 2.40.
Proszek czekoladowy funt 60, 80, 1.00, 1.20.
Keksy maślanne funt 60, 1.00, 1.20, 1.60.
Pralinki nadziewane funt 80, 1.00, 1.20, 1.60.
Pralinki warszawskie funt 2.00, 2.40, 3.00, 4.00.
Cukierki deserowe funt 60, 1.00, 1.20, 1.60, 2.00.
Czekolada łamana (czysta) funt 90 fen. i 1.20.
Czekolada śmietankowa funt 1.40, 1.60, 2.40.
Karmelki owocowe funt 40, 60, 80.
Karmelki owocowe nadziewane funt 1.00, 1.20
Karmelki piersiowe funt 60, 80, 1.00.
Sok malin. czysty funt 50 f.
Kawa Wiatraka funt 1.00, 1.10, 1.30, 1.50, 1.70, 1.90 i 2.10.
Stefan Prądzyński,
Poznań, Stary Rynek 59/60, wchód z ul. Wrocławskiej, Stary Rynek 91, wchód z ul. Wronieckiej i Chwaliszewo nr. 1 przy moście.
Pan **Józef Balcer** objął sprzedaż moich wyrobów na Księstwo Poznańskie i gwarantuje za sumienne i szybkie załatwienie wszelkich zamówień. Wysyłki na prowincyę uskuteczniamy z interesu głównego Stary Rynek 59/60. 356
! Od 6-ciu marek przesyłka franko !

Chleb Ceres
nabyć można w każdym handlu wiktualnym.
Specyalność: 11
Wybornego smaku swojski śrótak.

B. Bąkowski
Poznań W. 6, ul. W. Berlińska 65.
Jedyna polska fabryka
okien inspektowych.
Wielki zapas gotowych okien na składzie.
Hurtowny handel szkła.
Cenniki na życzenie franko. 393

Uczni a
dobrego wychowania z odpowiedniem wykształceniem przyjmie zaraz lub od 1/1. 10
W. Szelmeczka,
Handel skór i fabr. cholewek Inowrocław. 548

Preparaty Arystokratynowe
nadają twarzy świeżość, młodość i piękność.

Czerwone i popękane ręce
stają się po użyciu
Kremu Arystokratynowego
śnieżno białe i delikatne.
Krem Arystokratynowy nader przyjemny w użyciu, gdyż niełuszczący. 454
Do nabycia wszędzie.
Chem. Laboratoryum
Z. Rittera Nast.
Poznań, św. Marcin 20.


Najtańsze źródło zakupu materyałów opałowych.


Bracia Nitschke, Poznań
Główne biuro przy ul. Piekary 26.
Tel. 2189. 12
I. skład przy ul. Kolejowej obok placu Liwoniusza — II skład przy ul. Jadwigi 18.
Węgle kamienne **1,20** mk. za centnar, brykiety **1,10** mk. za centnar z dostawą do domu.
Na miejscu lub większe zamówienia taniej. Przy zamówieniach zamiejscowych proszę poprzednio żądać oferty.

Kawaler przystojnej postawy oficer rezerwy, 30 lat liczący, zamieszkały w większem mieście niemieckiem, mający prócz swego majątku 5 tys. mk rocznego dochodu, który rok rocznie wzrasta, poszukuje dla braku znajomości Pań Polek na tej drodze [9

żony.

Panienki z wykształceniem i z porządnej rodziny pochodzące zechcą zgłoszenia z dokładnem podaniem stosunków i jeżeli możliwem z dołączeniem fotografii, którą natychmiast odeślę, złożyć łaskawie pod literami **R. S. 200** w Ekspedycyi „Pracy“. Poznań, Rycerska 38. Za sekret słowem honoru ręczę, na anonimy nie odpowiadam.

Kasa Związku Ziemian
przyjmuje
depozyta i drobne oszczędności
począwszy od 1 marki i płaci 310

Za rocznem wypowiedzeniem	5%
„ półrocznem „	4½%
„ kwartalnem „	4%
Na każdorazowe żądanie	3½%

Adres: **Poznań-Posen.**
plac Wilhelmowski 17, I
Telefon 1615.

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii“** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju.
Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**

„WIARUS POLSKI“

162

Codzienne pismo ludowe, poświęcone oświacie, oraz sprawom narodowym, politycznym i zarobkowym

wychodzi sześć razy tygodniowo

nakładem p. Jana Brejskiego

i ma dodatek religijno-powieściowy pod tytułem

Posłaniec Katolicki

redagowany przez misyonarza polskiego na wychodźtwie

„WIARUS POLSKI“ jest pismem na wskroś katolickiem i narodowem a opierając się na szerokich kołach ludu polskiego broni energicznie jego interesów i szczegółowo zajmuje się sprawami społecznemi. Podaje też wiadomości o nabożeństwach polskich, o posiedzeniach, o pracy licznych na obczyźnie towarzystw i t. d. i t. d.

Przedpłata wynosi

bez odnoszenia

na 3 miesięce . 1 mr. 50 fen.
na 2 miesiące . 1 mr. —
na 1 miesiąc . — 50 fen.

Za odnoszenie płaci się 14 fen. miesięcznie

Numery okazowe wysyła się darmo i franko za zgłoszeniem się pod adresem:

— WIARUS POLSKI, BOCHUM —

Naród polski pod obcem panowaniem

przez

Juliana Baczyńskiego.

Książka ta zawiera 480 stron druku i kosztuje 2,50 mk.

Dla **Czytelników „Pracy“** obniża się

cena książki na 1,50 mk., z przesyłką 1,75 mk.

O liczne zamówienia prosi

„Praca,“ Poznań,
ul. Rycerska 38.

Kawaler, piekarz 25 lat liczący, dobrego charakteru, biegły w swym zawodzie, posiadający 4,000 Mk zaoszczędzonego kapitału, poszukuje dla braku znajomości Pań na tej drodze **towarzyszki życia.** Panienki lub wdówki, posiadające cokolwiek majątku albo własny interes na wsi lub w mieście, zechcą łask swe oferty wraz z fotografią do eksp. „Pracy“ pod lit. **A. W. 15** nadesłać. Rzecz honorowa, anonimy wykluczone.

Wdowiec 50 lat liczący, obywatel miejski z majątkiem 40 tys. mk., pragnie się powtórnie 566 **ożenić** z wdową bezdzietną lub panną ponad 40 lat z majątkiem odpowiednim w gotówce albo też w majątek. Zgłoszenia własnoręczne z podaniem majątkowem uprasza się do 6-go lutego 1910 pod literą **W. R. 52 poste restante Bromberg.**

Panna religijnie wychowana, miłej powierzchowności, posiadająca 7 tysięcy marek gotówki i dobrą wyprawę, pragnie wyjść 19 **za mąż** za trzeźwego i uczciwego człowieka, któryby posiadał własność i interes w większem mieście, lub też za urzędnika. Reflektanci raczą swe oferty wraz z fotogr. nadesłać do ekspend. „Pracy“ pod **N. 19.** Dyskrecya rzecz honoru.

Skład

50 □ mtr. o dwóch wielkich oknach wystawnych i pomieszkanie od 1-go kwietnia r. b. do wydzierżawienia. Gaz i wodociągi w domu.

J. Sobiecki
w Chełmży. 17
(Culmsee W.-Pr.)



MEINEL & HEROLD,
401 fabryka harmonik
Klingenthal (Sachsen) nr. 181.
odstaw. uzn. za najl. harmoniki.
10 kl. 2 chór. 50 głos. 4,50 m. i 5,—
10 „ 8 „ 70 „ 6,— „ 17,—
10 „ 4 „ 90 „ 7,25 „ 19,—
Szkoła i kista z drzewa darmo.
2, 3, 4, 6 i 8 chórowe i 1, 2, 3, 4 rzędowe **harmoniki** w 200 nr., dobre i tanie. Specyaln.: **Harmoniki na wzór wiedeński,** harm. ust., bandoniony, gitary, cytry gitarowe, skrzypce, cytry, okaryny, pozytywy, flety.
Gwarancya: Odbiór i zwrot pieniędzy. Przeszło 8000 urzęd. potw. listów dziękczynnych.
Główny katalog każdemu darmo.

PATENTY

uskutecznia szybko i tanio
Biuro patentowe
Knop & Kimer, Inż.
Poznań, Rycerska 8
Telefon 1735.
Informacya bezpłatnie.

Zakład dentystyczny
„Reform“
E. Karlewicz
Poznań, ul. Wrocławska 20
(przy placu Piotra.) 355
Wykonanie pierwszorzędne.
Ceny nader umiarkowane.
Operacye zębów bez bólu.
Honoraryum według umowy.

SKŁAD

kawy, herbaty, kakao i cukierków

zaraz lub później tanio do sprzedania.

Zgłoszenia **J. M. J. 2 Hauptpostlagernd Posen.** 20

KAZIMIERZ OSSOWSKI

INZ. I OBROŃCA PATENTOWY
PRZY CES. URZĘDZIE PATENTOWYM
W BERLINIE Potsdamerstr. Nr. 3.

2

Młyny wodne
Łabiszyńskie

położone w samem mieście Łabiszynie są od 1-go Lipca 1910 pod korzystnemi warunkami do wydzierżawienia.

Zgłoszenia wprost do Głównej Administracyi Majętności Łabiszyńskiej,

Adres dla poczty: **Herrschaft Labischin.**



22

Biegły zecer

może się zaraz zgłosić.

Drukarnia „Pracy“
Rycerska 38.



„GRYF“

PISMO DLA SPRAW KASZUBSKICH.
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.
CENA ZESZYTU 50 FEN.
ADRES REDAKCYI:
„GRYF“, KOŚCIERZYNA (BERENT W.-PR.)

W. Palacz

POZNAŃ, UL. NOWA 11.

Zakład elektrotechniczny

dla 23

światła, siły, telefonów, dzwonków, gromochronów i wszelkich reparacyi.



Cenniki bezpłatnie.

Najtańsze i najlepsze ź ódło zakupu
czystych i odstałych
win górnowęgierskich
oraz **wybornych, smacznych**
win słodkich Tarragońskich

łagodno słodkie 1/1 ltr. mk. 1,50 mk.) włącznie szkła.
pełne „ 1/1 ltr. mk. 2,00 mk.)

Koniaki, Rumy, Araki.
Wina z Bordeaux (czerwone i białe)
znajdują się u starej renomowanej firmy: 65

A. Pfitzner

w **Poznaniu (Stary Rynek 34)** wchód z ulicy Wiankowej.
Mád pod Tokajem własne winnice.

Kupcom znaczny rabat.

Patent. zastrzeż:
„Donatol“
błyszczyk na obuwie.
pierwszorzędny fabrykat
z chemicznej fabryki
„Donatol“ Wąbrzeźno Pr. Z (Wpr.)
wszędzie do nabycia

Wprawiam i plombuję zęby
podług najnowszej metody po przystępnych cenach. — Wykonanie dokładne i artyst.
Przyjmuję od 9. rana do 6. po południu. 125
J. i A. Marszałek,
Poznań, św. Marcin 56, I.
Zakład dentystyczny.

Fortepiany i harmonie
tanio a rzetelnie poleca
A. DRYGAS
Poznań, Św. Marcin 64.
DRYGAS



Miara na pierścionki i ślubne obrączki.
Proszę wyciąć, odmierzyć objętość palca i przysłać w liście



Szczero złote ślubne obrączki

(prawnie w stępel rządowy zaopatrzone), pełne, masywne **silne i ciężkie ma w wyjątkowo wielkim** i drogocennym **bogatym wyborze już gotowe na składzie firma M. Daneckiego.**

Wysyłka odwrotną pocztą natychmiast.

7 milim. szerokie 	6 milim. szerokie 	5 milim. szerokie 
8 karatowe złoto, 333 stęplowane, za parę 7 milim. szerokie mk. **18,00.**	**8** karatowe złoto, 333 stęplowane, za parę 6 milim. szerokie mk. **14,00.**	**8** karatowe złoto, 333 stęplowane, za parę 5 milim. szerokie mk. **10,00.**
14 karatowe złoto. 585 stęplowane, za parę 7 milim. szerokie mk. **32,00.**	**14** karatowe złoto, 585 stęplowane, za parę 6 milim. szerokie mk. **26,00.**	**14** karatowe złoto. 585 stęplowane, za parę 5 milim. szerokie mk. **20,00**
21½ karatowe dukatowe złoto 900 stęplowane, za parę 7 milimetrów szerokie mk. **55,00.**	**21½** karatowe dukatowe złoto, 900 stęplowane, za parę 6 milimetr szerokie mk. **45,00.**	**21½** karatowe dukatowe złoto, 900 stęplowane, za parę 5 milimetr. szerokie mk. **38,00**

Grawirowanie głosek w obrączkach darmo. 141

Adres: **M. Danecki,** Poznań - Posen, Św. Marcin 58.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Pracy“.

■ Specyalny magazyn konfekcyi damskiej ■
K. SIUCHNIŃSKI
POZNAN
ulica Nowa, narożnik Starego Rynku. 446

Kostyumy gotowe
na składzie począwszy
od **12,00** do **225,00** mk.

Kostyum „Wanda“
sukienny na jedwabiu
kosztuje tylko **39,00** mk.



Suknie gotowe.
Artykuły żałobne.
Futerka damskie.
Żakiety pluszowe.

Paltoty damskie
kolorowe
od **6,50** do **145,00** mk.

Paltoty damskie
czarne
od **7,50** do **165,00** mk.

Szlafroczki i matynki.
Spódnice czarne
od **5,70** do **78,00** mk.
Garderoba dla dzieci.

Bluzki
od **95** fen do **85,00** mk.
Spódnice kolorowe
od **3,25** do **54,00** mk.
Halki
od **1,75** do **58,00** mk.

94
A. RUCZYŃSKI
BUDOWNICZY W KÓRNIKU.

Dobra egzystencya!

Biegły kupiec, posiadający gotówki około 10—15 tys. marek, może przejąć bardzo korzystny interes **w Gnieźnie** w bliskości rynku. a składający się z **destylacyi, restauracyi z największym zajazdem** dla okolicznych gospodarzy, handlu korzennego i **browaru** piwa pojedyńczego. Ostatni jest od roku do roku wydzierżawiony i ma doskonałe powodzenie. Wszystko to razem wraz z domem **przynoszącym przeszło 6000** mk rocznej dzierżawy, można nabyć z zaliczką 10—15 tys mk., jeżeli kupujący okaże się zdolnym i energicznym kupcem; w takim razie powierzy mu się filia poznańskiego bardzo rentującego się interesu. Łask. oferty przyjm. ekspedycya tego pisma pod nr. **449.**

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.